№ 15 Warszawa, dnia 28 Marca (9 Kwietnia) roku 1881.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu zlr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 c 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu zlr. 2 c. 75 na prowincyi zlr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr. 1530 (nowy 20).

LIST OTWARTY.

DO OJCÓW BEZWYZNANIOWYCH.

Pomieszczając list ten w piśmie dla kobiet przeznaczonem, nie mam ich na myśli. Serce matki jest tak wielką miłością przejęte, że jeżeli nie rozumem to instynktem przeczuje wszystko, co dziecięciu jej może przynieść szkodę lub narazić na jakie niebezpieczeństwo. Bezwyznaniowych też matek w całem tego słowa znaczeniu, nie ma właściwie, a jeżeli znajdują się pomiędzy kobietami, chełpiące się z szyderstwem z rzeczy dla drugich świętych, to z pewnością nie będą matkami, ale jakiemiś zwichniętemi istotami, podobnemi do wybujałych roślin bez słońca wychodowanych.

Z ojcami inny stan rzeczy. Bezwyznaniowość ich wypływa z zapomnienia tego przemądrego zdania Sokratesa: jestem mądrym, bo wiem, że nic nie wiem. Otóż z ojcami takiemi chciałbym choć chwilkę pomówić, nie jako teolog lub filozof, ale jako obywatel kraju, pozytywnie obowiązki swoje względem niego pojmujący.

Aby jednak list ten doszedł właściwych adresów trudność to nie mała. Ktożby z nich chciał zniżyć się do przeglądania pisma kobietom posługującego? Do Was się więc odwołuje Matki, Siostry i Obywatelki, uproście ich o przeczytanie tych słów kilku, a choć niepodobna przypuścić, aby jeden artykulik dziennikarski mógł zmienić ich przekonania antyspołeczne, ale może ocucić instynkta zachowawcze i wstrzyma ich od dalszej propagandy zasad tak sprzecznych z pojęciem ogółu. Byłaby to Wasza niemała zasługa, czyż od zdobycia jej uchylicie się?

Nie zraźcie się także pozytywnemi memi wywodami; do pozytywistów, aby być wysłuchanym, trzeba ich językiem przemawiać. Z innego rozśmieją się i uznają za wybryk zapleśniałego konserwatysty nie umiejącego wznieść się nad poziom umysłowości dążącej ciągle do postępu i otrząsającego prawdę z naleciałości ją osłaniającej. Nie jestem takim! Wszelka krańcowość wprost do przepaści prowadzi.

Zwracając się teraz do was ojcowie bezwyznaniowi, czuję się w obowiązku oświadczyć przedewszystkiem, że wierzę najzupełniej, iż kochacie społeczność do której należycie, pozytywnie, czyli że w jego dobru widzicie własne i dlatego pragniecie według waszego pojęcia, fałsz zdruzgotać a prawdzie tryumf zapewnić. Wierzę także, że wyrobione przez was zasady, bronią was od zboczeń godności ludzkiej ubliżających, przynajmniej do tego stopnia, o ile na to pojęcie wasze solidarności ze społecznością pozwala. Im to będzie jaśniejsze tym błąd rzadszy: ustrzedz się go zupełnie nie będzie w waszej mocy, wyrób doskonałości dotąd przynajmniej z rozumu ludzkiego zdobytym nie został. Musimy błądzić wszyscy i błądzić będziemy ciągle, aż do chwili, gdy według waszych przekonań, człowiek zdobędzie wszystkie dotąd tajemnice dla niego prawdy i stanie się doskonałym.

Nie wdając się w rozumowanie, czy założenie wasze jest słuszne czy niesłuszne, przyznacie jednak, że ludzkość po pracy kilkudziesiątków wieków, zdobyła zaledwie kilka kropel prawdy z otaczającej nas wielkości stworzenia, i że gdyby nawet celem jej było dojście do zupełnej doskonałości, jak w to wierzycie, to sądząc z tego co dotąd wybadała, aby poznała wszystko, potrzeba jeszcze tyle wieków, że liczba ich już rachunkiem ludzkim nie da się oznaczyć. A jednak przez tę tak niepojętą wielkość czasu, musi żyć, rozwijać się, pilnować porządku, stanowić prawa, wyrabiać ich poszanowanie, bo inaczej nie mogłaby istnieć.

Was od zamącania tego społecznego rozwoju, broni zdobyta już wiedza będąca w waszem posiadaniu, pojęcia jaśniej przez nią rozwinięte i myśl wprowadzona w szranki rozważania. Ale po za wami są milionowe tłumy, którym wiedza ta jest obcą, którzy nie umieli dotąd wyrobić w sobie hamulca do trzymania na wodzy swoich namiętności i umieją tylko wierzyć a nie rozumować. Wiara ta przedewszystkiem oparta jest na pewności bytu osobistego Boga, na nieśmiertelności duszy, i na wieczności życia po śmierci. I ludzkości nie narzuconą ona została przez jakiś autorytet naukowy, przez nakaz lub jakieś postanowienie, ale wprost dana była wraz z życiem, i dlatego nie znaleziono dotąd ani jednego ludu, mało nawet różniącego się od zwierząt, dla którego pojęcia te byłyby obce. Jakimże więc sposobem mogłyby powstać tam, gdzie nigdy nie było i nie ma dotąd ani uniwersytetów, ani doktorów filozofii?

Łaska ta wielka najwyższej nieznanej nam mądrości, stała się główną podstawą wiar rozmaitych, na czele których stanęło chrześciaństwo. Na niej urządzony porządek społeczny dał ludziom cel życia, wskazywał złe i potępiał je, głosił dobre i zachęcał do jego spełniania, wyrabiał poddanie się w przeciwnościach, umiarkowanie w powodzeniu, miłość bliźniego i konieczność skarbienia szczęśliwości wiecznej, cnotą i dobremi uczynkami. I był on i jest dobry o ile ludzkość trzyma się jego przepisów; wyzyskiwanie go przez złych nie osłabia jego wartości, tylko dowodzi siły namiętności ludzkich nie przebierających w środkach, gdy idzie o ich zadowolenie. Jest dobrym bo ciągle ludzkość podnosił i podnosi do obywatelskiej godności i broni od rozpaczy a tem samem od rozstroju ogólnego. Będzie zaś coraz lepszym w miarę przenikania wszystkich warstw społecznych, stawania się ich obyczajem, niejako nałogiem, bo tym sposobem znagli do rządzenia niemi, przepisam prawdy i sprawiedliwości.

Do zupełnego takiego rozwoju ustanowionego porządku, ludzkość jeszcze nie doszła, ale ciągle posuwa się naprzód i w miarę tego czuje, że jej coraz lepiej. Spojrzyjcie po świecie, przypatrzcie się ludom w których moralność wzrasta, bogactwo powiększa się, pomyślność kwitnie, a przyznacie że winny to wszystko owemu porządkowi przez chrześciaństwo dobrze pojęte zaprowadzonemu. Gdzie inaczej się dzieje, tam chrześcijaństwo jest tylko pozornem a głupota, samolubstwo i złość, przewodnikami.

Porządek więc społeczny, a raczej główne zasana jakich jest oparty, nie burzyć należy ale podpierać. Nie spełnił on jeszcze swego zadania, bo nie stał się obyczajem wszystkich, mimo tego chcecie go burzyć wytrącając podwaliny na których wzrósł i ciągle wzrasta. Cóż w ich miejsce dacie innego?

Uczycie dzieci swoje: nie ma Boga bo Go nikt nie widział: nie ma duszy, bo tej oko ludzkie dopatrzeć nie może: nie ma wieczności bo i ta pojęciem nie da się objąć.

Przypuśćmy, że tak jest jak powiadanie, że wszelkie przeciwne dowodzenie jest fałszem, cóż jednak dacie w zamian za te przeczucia wlane w nas razem z życiem? Czem zaspokoicie tę niezbędną ciekawość ludzką, dowiedzenia się czem się jest i do czego się dąży?

Człowiek jako syn ziemi, obarczony namiętnościami ciała, przewadze ich ulega z łatwością. Naukowe wykształcenie wpływ ich zmniejsza, często nawet robi pokornemi służkami hartownej woli, ale ileż na to trzeba czasu, ileż pracy, ileż nagromadzenia skarbów nauki, aby człowiek wzniósł się po nad siebie i został prawdziwym człowiekiem panującym naturze? Religia spełnia to z niezmierną łatwością: podnosząc w najwyższe sfery abstrakcyi odrywa od ziemi, pozytywizm do niej przykuwa. Religia daje cel wyższy życia, na duchowym oparty pierwiastku, pozytywizm spycha go do celów czysto ziemskich z materyą żadnego rozbratu nie przypuszczając. Religia staje się hamulcem dla wybryków namiętności, pozytywizm folgą uprawniającą niejako te wybryki.

Religia dobre wychowanie ułatwia, rozwiązując stanowczo najskrytsze tajemnice ludzkości, i wdrażając je w człowieka od dziecka broni go w przyszłości od roztroju a nawet rozpaczy. Pozytywizm a z niego wypływająca bezwyznaniowość, inną idzie drogą, tajemnice najważniejsze dla człowieka, nie mogąc ich dowieść z matematyczną ścisłośeią, pomija a co gorsza często ośmiesza a w miejsce to podsuwa prawidła wysnute z natury i jej działalności.

Pojąć je właściwie, potrafi tylko umysł wyższy z pewnym zasobem wiedzy i ustalonych zasad moralności. Dziecko na tem stanowisku nie stoi, jestto istotka jeszcze bierna i jak rozwijała ciało swoje pokarmem ssanym z piersi macierzystej, tak później rozwija umysł swój słowem z ust rodzicielskich płynącem. Gdy to nie będzie je odrywać od ziemi, ale przeciwnie z nią łączyć i do niej przywiązywać, cóż się z niem stanie w przyszłości?

Z czasem w późnym już wieku, dojść może do wiedzy Sokratesa, że nic nie wie i otrząsnąć z mgły pychy poczucie nieśmiertelnego ducha nie oparte na wywodzie pozytywnym, ale nim przyjdzie do tej pokory uznania swej nieświadomości, swej maluczkości, ileż złego i dla siebie i dla społeczności sprawić może. Namiętności bez hamulca i to w latach ich największego rozwoju, to straszna potęga. Podsycane wrodzonem samolubstwem, wrą jak huragan zostawiający po sobie zawsze pustkę i zniszczenie. Czyż na to brak dowodów? W młodem naszem pokoleniu przykładów na to aż nadto naliczyć można. Upadłe w niem jednostki odsunięte z pod wpływu religijnego wychowania, pochwytawszy oderwane zdania, o walce o byt, o wolności w wyborze, o przeistaczaniu się gatunków, o śmieszności wszelkiej abstrakcyi której nie można palcem dotknąć, a okiem dorzeć, ugrzęzły acz w latach tak młodocianych, w najgrubszym materyalizmie. Przeszłość stała się dla nich zbrodnią, przyszłość niczem, obecność wszystkiem a urządzenie jej jak najwygodniejsze, jedynym celem wszystkich zabiegów. Ztąd niepohamowana niczem chęć użycia, łatwego ubogacenia się, pożądliwość na mienie ojcowskie, pomiatanie wszystkiem co zysku nie daje, a wreszcie samobójstwo nawet między dziećmi, nigdy przedtem niespotykane.

Gdyby zły wpływ bezwyznaniowości ograniczał się tylko na jednostkach, byłoby to szkodą wielką ale nie groźną dla porządku społecznego. Na nieszczęście wciska się on w najniższe warstwy z milionów złożone.

Zdania stronników bezwyznaniowości, teorye, przypuszczenia, wywody i dowodzenia, po słówku, po cząstce myśli, podsłuchane, przeinaczone i zapamiętane, przechodząc przez różne usta i płynąc jak pajęczyna w jesiennej porze, tu nikną bez śladu, tam zaciekawiają, a tam przyczepiają wpijając się w umysły więcej bystrzejsze. Rozwinięte w nich według gruntu spotkanego, idą w świat dalej, a choć stojących przy starym obyczaju grozą przejmują, słabszych, chwiejnych, z namiętnościami gorętszemi, porwawszy, zamieniają w jednostki z całą społecznością powaśnione. Z podobnemi spotkać się wszędzie można, zarówno w przedpokoju jak w chacie ubogiego wyrobnika, zarówno między coś już umiejącemi jak liter nawet nieznającemi. Cóż więc dziwnego, że teraz kradzież tak się stała powszechną, oszustwo rzeczą zwyczajną, a zbrodnia żadną nadzwyczajnością. Proste to następstwo pozytywnych doktryn, druzgoczących powagę wiary. Wychowane w nich wasze dziatki, staną się z zasady samolubami lub pasożytami i obrócą się przeciw wam gdy im staniecie na zawadzie: nasyceni niemi prostaczkowie staną się nieszczęściem społecznem.

Religii zatem nie osłabiajcie, ale ją potęgujcie jeżeli nie jsko świętość to jako czynnika porządku społecznego.

Ślepy tylko zrywa upusty broniące go od zatopienia, widzący poprawia je, umacnia choć mu braki w nich nie są tajne. Pozytywizm wierzeń religijnych niczem nie zastąpi, wzruszy je, osłabi a nowego i lepszego w miejsce nauki ewanielicznej nie da. Walczcie przeciw złości ludzkiej handlującej wiarą prostaczków, ale nie przeciw niej samej. Bluźnierstwo na nią rzucone to miecz obosieczny, ludzkości na wasz tor nie wprowadzi, powiększy tylko wybryki karogodne które i wam muszą się dać uczuć szkodliwie.

Słowami memi, którym bardzo wiele brakuje, kołaczę nie do waszego serca ale do rozumu. Rzucone w nich myśli godne waszej rozwagi, daje je nie fanatyzm ale obywatelstwo, które nakazuje odsunąć wszystko co społeczeństwu szkodę przynosi a podpierać do ostateczności co od niej broni. Jeżeli przyjmiecie je pobłażliwie, będzie to zasługa nie moja ale wasza, żeście z miłości własnej zrobili ofiarę: jeżeli pogardzicie niemi, westchnę boleśnie i włożę to na karb mej nieudolności, nie dozwalającej jasno wyrazić tego co czuje. W każdym razie nie odmówcie mi dobrych chęci którym się wiele przebacza.

J. K. Gregorowicz.

Henryk Siemiradzki.

Sonety.

I.

Pod południową lazuru tonią,
Pod tą błękitną wiecznie arkadą,
Gdzie gaje mirtów kwitną i wonią
Zlane słonecznych blasków kaskadą;

Kędy kolumny stoją topole
I każda pieśnią słowiczą jęczy,
Kędy na krynic błyszczy się czole
Skradziony z niebios dyadem tęczy:

Kędy się w słońcu kąpią fontanny —
I przez ich welon sypią iskrami
Oczu — południa smukłe Dyanny.
A potem tęsknią między kwiatami,
Sparte o gibkie werandy ściany
Z miłosną pieśnią, albo ze łzami;

II.

Gdzie teraźniejszość rzuca festony
Zieleni po nad dworców ruiny, —
Do tej słoczecznej bogów krainy
Z północyś przyszedł, mistrzu natchniony!

I tętna wszystkie pieśnią zagrały,
I z tłumu białych posągów zwiana —
Wybiegła do cię przeszłość świetlana,
Strojna w szczytniejsze swe ideały.

I cały świat ten biegł w twe ramiona,
Ożywiał kształty, odkrywał łona,
I bogiń twarze płonęły, bladły,
Aż wszystkie myśli twoje rozkradły,
Aż mgłę przeszłości blaskiem rozbiły —
I w wszystko, wszystko — wtajemniczyły!

III.

I po nad świat ten płynęła biała,
Płomiennooka, z przyrody zwiana,
Chwilą namiętna, chwilą nieśmiała —
Bogini piękna — czysta, świetlana.

I czar rzuciła, i tyś biegł za nią,
Dumny, potężny a niezwalczony,
I coraz cudniej świat rozemglony,
Świat piękna, przed swą rozkwitał panią.

I wszystkie wieki stanęły społem, —
I gdyś się wglądał w nie upojony —
Ona pływała nad twojem czołem —
I niżej, niżej... w piersi się wkradła,
I rozbujała puls w takt szalony,
I pędzel mistrzów do ręki kładła...

Kazimierz Paledzki.

PRUSACY W FRANKFURCIE,

przez

ALEKSANDRA DUMASA.

przekład

J. B.

I.

Pod lipami, w Berlinie.

Jak wiadomo Berlin należy do miast tak symetrycznie zbudowanych i jakby pod sznur wyciągniętych, że zdawałoby się, iż założyciele to jedynie mieli na celu, aby je zrobić siedliskiem nudów i antypodami malowniczości.

Patrząc na niego z najwyższych w mieście szczytów katedry, wygląda jak ogroma szachownica, której główne figury przedstawiają: brama Brandeburska, teatr, arsenał, zamek, opera, muzeum, kościół katolicki, mały pałac i kościół francuzki. Sprea przedziela go na dwie równe prawie części; dwa kanały urządzone ręką ludzką, jeden z prawej drugi z lewej strony rzeki, tworzą w środku miasta jakby dwie nie równej rozległości wysepki. Jakby na dowód, że Berlin jest stolicą przywilejów, na jednej wznosi się zamek, kościół katedralny, Muzeum, Giełda i ze dwadzieścia domów zakrawających na pałace, druga nie może się pochlubić żadnym okazalszym gmachem. Okazały arystokratyczny Berlin ześrodkował się po obu stronach ulicy Fryderyka, ciągnącej się wzdłuż całego miasta. Ulicę tę przerzyna piękna aleja Lipowa (unter den Linden), jedyna promenada niemieckiej stolicy, która przerzynając dzielnicę arystokratyczną, ciągnie się od Placu broni aż do zamku. Nazwa jej pochodzi od dwóch rzędów pięknych rozłożystych lip, ciągnących się z dwóch stron bitej drogi przeznaczonej dla powozów i jeźdców, i tworzących piękną spacerową aleję dla pieszych.

Z obu stron ulicy znajduje się wielka liczba piwiarni i kawiarni, które opuszczając, goście rozchodzą się po promenadzie, co wytwarza na niej ruch nieustanny, nieodznaczający się jednak wielką wesołością lub choćby ożywieniem, Prusacy lubią bawić się cichaczem i weselić wewnętrznie.

Dnia 7 czerwca 1866 r. około szóstej po południu, podczas jednego z najpiękniejszych wieczorów jakie widzieć można w Berlinie, niezwykłe wyjątkowe wzburzenie panowało pod Lipami — wiele przyczyn składało się na jego wywołanie. Najpierw coraz wyraźniej uwydatniająca się nieprzyjazna postawa Prus względem Austryi, nie dopuszczających zwołania Stanów Holsztynu dla elekcyi księcia Augustenburskiego; dalej energicznie prowadzone uzbrojenie, wieści o bliskiem uruchomieniu landweru i rozwiązaniu Izby, a nakoniec pogłoska o nadeszłej z Francyi drogą telegraficzną wiadomości, o pełnem groźby dla Prus przemówieniu cesarza Napoleona III. Wielu jednak nie chciało wierzyć ostatniej nowinie, ponieważ urzędowy *Stats Anzeiger* ani jednem słówkiem nie wspomniał o niej, a wierni urzędowej gazecie, nie przypuszczali aby mogła mijać się z prawdą, nie posądzali rządu o taką nieszczerość aby mógł przez całe dwadzieścia cztery godzin ukrywać przed ufającą mu ludnością tak ważną wiadomość. Do nich przyłączali się czytelnicy *Tages Telegraph*, utrzymujący, że ulubiona ich gazeta, już przez sam wzgląd na swój tytuł, nie mogłaby dopuścić aby ktokolwiekbądź pierwej niż ona odebrał jakąś depeszę.

Obok nich występowali jeszcze liczni prenumeratorowie *Kreutz Zeitung* (Gazety Krzyżowej) będąca organem szlachty a wówczas i pierwszego ministra, oznajmiając, że nigdy nie wierzą w tak doniosłą wiadomość, dopokąd nie zamieści jej organ uchodzący, nie bezzasadnie, za najlepiej zawiadamiany ze wszystkich gazet berlińskich.

W tem nagle weszło na promenadę kilku roznosicieli, którzy zagłuszając gwar rozmów, wołali donośnym głosem:

— *Franzoesische Nachrichten! Telegraphische Depesche! Ein Kreutzer!*

Łatwo pojąć jak silne wrażenie zawiadomienie to wywarło na zaniepokoje już umysły; to też pomimo przysłowiowego skąpstwa Prusaków, każdy sięgnął po krajcar do kieszeni, aby kupić ćwiartkę papieru, zawierającą tak nieprzdwidzianą a jednak oczekiwaną wiadomość.

Oto co opiewała:

„Dziś, dnia 6 czerwca 1866 r. J. C. Mość, Napoleon III, udający się z Paryża do Auverre, powitany był u bram miasta przez mera, który w przemowie wierno-poddańczej, objawił mu hołdy mieszkańców. Odpowiedź cesarza jest tak ważną i zrozumiałą, iż zbytecznem byłoby tłomaczyć ją i objaśniać. Powtarzamy ją dosłownie:

„Szczęśliwy jestem przekonywając się, że wspomnienia pierwszego cesarstwa nie zatarły się w waszych sercach; bądźcie przekonani, że i ja także odziedziczyłem uczucia głowy naszego rodu, dla tych dzielnych i patryotycznych ludności, wiernych cesarzowi w złych i dobrych losach. Prócz tego dla departamentu Yonne zaciągnąłem dług wdzięczności, gdyż on pierwszy dał mi swoje głosy w 1848 r. Pojął on, zarówno jak większość ludu francuzkiego, że podzielam uczucia i strzegę interesów jego, które są zarazem moimi, i że nie nawidzę tych ohydnych traktatów z 1815 roku, które chcianoby dziś uczynić jedyną podstawą naszej polityki zagranicznej."

Depesza kończyła się na tych słowach, ogłaszający ją, objawiwszy zdanie Napoleona co do traktatów z 1815 roku, uznał że niewarto powtarzać końca przemówienia.

Jednakże pomimo całej jasności depeszy, czytelnicy jej potrzebowali pewnego czasu aby ją przetrawić w umyśle i aby w duszach ich obudziła tę zaciętą nienawiść do Francyi, na jaką była obliczoną. Gdy już zaczynali pojmować doniosłość słów cesarskich, dopatrzyli w nich najpierw rękę synowca Napoleona I, chciwie sięgającą po Ren. I w jednej chwili, na całej promenadzie, rozległa się taka burza groźb, przekleństw i wrzasków, iż, wyrażając się słowami Schiller'a w *Zbójcach*, można było mniemać, „że pękały jednocześnie wszystkie obręcze na niebieskiej beczce". Podnoszono w górę zaciśnięte pięści, wygłaszano najsroższe złorzeczenia straszną zemstą odgrażając się Francyi; jakiś student z Gettingi, wszedłszy na stół, zaczął deklamować z niemiecką przesadą, jeden z najzapaleńszych poematów Franciszka Ruckker'a p. n. *„Powrót"*.

Wiersz ten, tak popularny w całych Niemczech, a szczególniej w Prusach, wyrażający tak dobitnie niechęć i nienawiść do Francuzów, wywołał szalony zapał i uniesienie słuchaczy. Ze wszech stron rozległy się okrzyki i oklaski: Niech żyje król Wilhelm! niech żyją Prussy! Śmierć Francuzom!

Ale nie na tem koniec; podobnie rozpłomienione uniesienia, potrzebowały więcej klap bezpieczeństwa, do wyrzucenia tak palącej lawy i pary. Na tejże promenadzie, ale nieco dalej, przy rogu ulicy Fryderyka, zebrany tłum poznał śpiewaka wracającego z próby z Wielkiego Teatru, któremu przyszła myśl zanucić słynny śpiew Becker'a *„Ren germański"* ktoś to usłyszał i uznał stosownem wołać na śpiewaka, aby na cały głos zaśpiewał tę pieśń patryotyczną. Najpierw tety on, a za nim liczne głosy zaczęły wołać:

„Heinrich! zaśpiewaj nam *Ren germański! wolny Ren germański!*

Otoczono śpiewaka; miał piękny głos i śpiew ten śpiewał doskonale, uległ więc ogólnym naleganiom. Oto dosłowny przekład wiersza Becker'a:

O! nie posiądą cię, germański Renie,
Pomimo krzyku by krwi chciwych kruków,
Pokąd nieść będziesz swą zieloną szatę,
Pokąd wiosła Germanów uderzać będą twe fale!

Nie posiądą cię, pokąd serca nasze
Zagrzewać będzie twe wino ogniste,
Pokąd skały wznosić się będą
W pośrodku twych wód;
Pokąd w zwierciadle ich
Odbijać się będzie cień wysokich katedr.

O nie posiądą cię, germański Renie!
Pokąd dzielna młódź niemiecka,
Pałać będzie ogniem miłości
Dla twoich dziewic powiewnych,
Pokąd nie skryją się na dnie fal twoich
Kości ostatniego z Germanów.

Jeźli pierwszy deklamator nagrodzony był ogólnym poklaskiem, to obecnie zapał wzniecony śpiewem przechodził w wściekły szał. W tem nagle, o zgrozo! dało się słyszeć tak potężne sykanie jakby świst lokomotywy, niby policzek wymierzony śpiewakowi i roznamiętnionym tłumom.

Bomba spadająca wśród tłumu, nie wywołałaby straszniejszego skutku; rozległ się głuchy szmer, jakby grzmot poprzedzający burzę, i oczy wszystkich zwróciły się w stronę z której dochodziła zuchwała protestacya.

Przy oddzielnym stole siedział młody dwudziesto-kilkoletni młodzieniec; biały, blondyn z niebieskiemi oczami, z pozoru nie zakrawający na zbyt silnego: nosił hiszpankę i wąsiki à la Van Dyck, do którego był nieco podobny. W ręku trzymał kielich szampana, nalany ze świeżo odkorkowanej butelki. Nie troszcząc się i nie zważając na ogólną niechęć i złe zamiary jakie obudził, na groźne spojrzenia i zwrócone ku sobie zaciśnięte pięści, wyprostował się, stanął opierając jedną nogę na krześle, i wznosząc kielich po nad głową, zawołał:

— Niech żyje Francya!

I poniósłszy szklankę do ust, wychylił ją duszkiem.

II.

Dom Hohenzollern'ów.

W tłumie otaczającym młodego Francuza, zapanowało chwilę niewysłowione zdumienie. Wielu bardzo nie zrorumieli toastu, nie znając francuzkiego języka; inni zrozumieli, ale pojmując jak wielkiej trzeba było odwagi aby tak wyzywać rozdrażnione tłumy, raczej z podziwieniem niż z gniewem patrzyli na winowajcę. Inni jeszcze którzy zrozumieli i uważali że to postąpienie było rozmyślnie wymierzoną dla nich obelgą, którą pomścić należało, zabierali się do tego ze zwykłą niemcom powolnością, co dozwoliłoby młodemu Francuzowi uciec

przed nimi, gdyby mu myśl podobna powstała w głowie; lecz przeciwnie cała jego postawa wskazywała, że czeka spokojnie następstw swego toastu i że nie cofnie się przed niemi, bez względu jakiekolwiekby być mogły.

Oczekując poważniejszego wyznania, dosłyszał wyraz *Franzose* powtarzany w tłumie jakby zapowiedź groźby.

— Tak, rzekł najpoprawniejszym saskim dialektem, jestem Francuz, nazywam się Benedykt Turpin. Mógłbym wam powiedzieć, że jestem Niemcem, bo doprawdy mówię po niemiecku lepiej od was, ponieważ pobierałem nauki w Heidelbergu. Mogę się bić na rapiry, pistolety, szpady, pałasze a nawet pięści — wszystko mi to jedno; mieszkam w hotelu *Pod czarnym orłem*, i gotów jestem służyć każdemu kto się czuje obrażonym.

Zaledwie wypowiedział te słowa, czterech mężczyzn, należących widocznie do niższych warstw społecznych, postąpiło ku niemu; a że jeszcze panowała cisza, usłyszano, wyraźnie, jak rzekł z największą pogardą:

— Czterech przeciwko jednemu! to coś jak pod Lipskiem — ale mniejsza o to...

I nie czekając napaści, postąpił ku najbliższemu, rzucił w niego butelką szampana, która rozbryzgając się w kawałki pokryła go czerwonym musującym płynem, drugiego kopnął tak silnie że się potoczył, trzeciego uderzył w bok i obalił na krzesło, a czwartego chwycił za kołnierz, potem ujął w pas, uniósł w górę, rzucił na ziemię, i stawiając nogę na piersiach:

— Otóż bitwa pod Lipskiem wygrana! zawołał ze śmiechem, ukazując białe i drobne zęby.

Wszystko to odbyło się w mgnieniu oka; rzucono się ku Francuzowi. Nie unosząc nogi przygniatającej piersi obalonego, pochwycił krzesło drewniane z wysoką poręczą i zaczął tak zręcznie i prędko wywijać niem do koła, że przez chwilę ograniczono się do wygrażań. Jednakże otaczające koło ścieśniało się coraz więcej; ktoś pochwycił nogę krzesła i musiano zaprzestać młynkowania, a napadnięty ze wszech stron Francuz, zostałby pobity, gdyby nie zasłonili go swemi piersiami, trzej oficerowie pruskiej landwery, z których jeden zawołał:

— No! no! panowie, nie zechcecie przecież zamordować tego odważnego młodzieńca, który pamiętając, że jest Francuzem, zawołał: „Niech żyje Francya!...” Teraz krzyknie: „Niech żyje Wilhelm IV! będzie to dostateczne zadość-uczynienie.

A zwracając się do młodego Francuza, rzekł mu cicho:

— Zawołaj pan: „Niech żyje Wilhelm IV” lub nie ręczę za nic.

— Tak! tak! ryknęła tłuszcza, niech krzyknie: „Niech żyje Wilhelm IV! niech żyją Prusacy!” a wtedy zgoda.

— Niech i tak będzie, odrzekł Benedykt, ale chce zrobić to dobrowolnie a nie pod przymusem. Puśćcie mnie, żebym mógł wejść na stół.

— No, odsuńcie się i dozwólcie temu panu wejść na stół, rzekli odsuwając się oficerowie; chce coś przemówić.

— Niech mówi! niech mówi! wrzeszczał tłum.

— Panowie! rzekł Benedykt, wchodząc na stół stojący tuż przy oknie kawiarni, nie chcę i nie mogę krzyknąć „Niech żyją Prussy,” ponieważ w chwili gdy może Francya wypowie im wojnę, każdy inny okrzyk niż „Niech żyje Francya!” byłby ze strony Francuza tchórzostwem lub podłością. Nie będę także krzyczał: „Niech żyje król Wilhelm IV” bo ponieważ nie jest on moim królem, nie pragnę zarówno tak jego życia jak śmierci... Ale za to mogę panom powiedzieć śliczny wiersz jako odpowiedź na wasz *Ren germański.*

Nie wiedząc jaki wiersz zamierza im wypowiedzieć Benedykt Turpin, słuchacze okazywali objawy zniecierpliwienia; doznali niemiłego zawodu widząc, że zamiast po niemiecku zaczął deklamować po francuzku, słuchali jednak uważnie.

Była to rzeczywiście, jak zapowiedział Benedykt, odpowiedź na *Ren germański* ale odpowiedź Alfreda de Musset.

Benedykt był doskonałym deklamatorem, a że teraz mówił z całą duszą, oddał więc następujący wierz Musset'a z prawdziwie artystycznym zapałem.

Renie germański, tyś naszym był,
W naszej się mieścił szklanicy,
I czyliż Niemiec piosenką już zmył,
Ślad, co się w ziemię jego krwawo wrył,
Naszej francuzkiej konnicy?...

Renie germański, tyś naszym był;
I twoje szerokie łono
Świadczy po dziś dzień szramą skrwawioną,
Że Kondej rozdarł twą szatę zieloną —
Gdzie ojce przeszły, synom starczy sił!

Renie germański, tyś naszym był;
Gdzież wasze niemieckie cnoty?
Gdy Cezar Francyi swe przeprawiał roty,
Kiedy cień jego chmurzył wasz smug złoty,
Kogoś z ostatnich Germanów tyś skrył?...

Renie germański, tyś naszym był;
Jeźli wam obce własne wasze dzieje
Niemieckich dziewic serce k'nam się śmieje,
Których dłoń piękna winko wasze leje,
Jakie francuzki żołnierz chętnie pił.

Jeżeli wasz to ów germański Ren,
Płóczcie w nim szaty z lokajskim galonem,
Lecz wam niewolno prawić górnym tonem,
Których wrzask wroni w tem polu zamglonem,
Poprzedził orła wiekuisty sen...

Germański Renie, spokojnie się nieś,
Odbijaj katedr twoich szczyty wież;
Młodzi niemiecka w przyszłość swoją wierz,
I tylko głupich piosenek się strzeż,
I z grobów śpiące nie wzywaj na rzeź!...

Słuchacze ci, przynajmniej którzy rozumieli francuzką mowę, przekonywali się z każdą chwilą, że stali się łupem nowej mistyfikacyi, i że Benedykt dla tego jedynie chciał mówić, aby im wypowiedzieć bardzo niemiłe prawdy.

Gdy już nie mogli wątpić o tem, zażegnana chwilowo burza, zaczęła wrzeć z nową siłą. Czując że gniew oburzonego tłumu wzbierał ku niemu jak przypływ fal morskich, i rozumiejąc, że tym razem na żadną pomoc liczyć nie może, mierzył okiem małą odległość oddzielającą stół na którym stał od okna kawiarni, gdy w tem trzy czy cztery wystrzały z pistoletu, dane o jakie dwadzieścia kroków dalej, odwróciły od niego uwagę otaczającego tłumu.

Odgłos i dym wskazywały miejsce w którem padły strzały.

Jakiś młody człowiek, w eleganckiem cywilnem ubraniu, pragnął zastrzelić innego znacznie starszego od siebie, który miał na sobie mundur pułkownika landwery. Walczyli z sobą zawzięcie; pierwszy pragnął wydrzeć życie przeciwnikowi, który bronił go wszelkiemi siłami.

I znowu dał się słyszeć wystrzał — ale nie ugodził w napastowanego, który podwajając zawziętość obrony, pochwycił w pół napastnika i nie myśląc nawet o zawezwaniu pomocy, jaką mógł znaleźć tak łatwo, kilkakroć wstrząsnął nim tak silnie iż tenże stracił prawie przytomność; następnie rzucił go wznak na ziemię, upadł na niego, a podnosząc się do połowy, przygniótł mu piersi kolanem.

W tej dopiero chwili wszyscy rzucili się ku zapaśnikom, i w tym któremu tak wielkie groziło niebezpieczeństwo, poznano z niewymownem zadziwieniem hrabiego Edmonda von Boesewerk, ministra króla Wilhelma.

Wyrwał on z ręki zabójcy rewolwer który temuż nie dopisał, w pierwszej chwili skierował lufę jego ku skroni młodego człowieka, aby ostatnią kulą roztrzaskać mu głowę — tenże widać pragnął tego gorąco, gdyż uczuwszy zimno położonej do skroni broni, krzyknął:

— Strzelajże! strzelaj!

Ale hrabia się namyślił; schował rewelwer do kieszeni, i rzekł oddając mordercę dwom oficerom:

— Panowie, młody ten człowiek jest zapewnie waryat, ale w każdym razie bardzo niezręczny. Napadł na mnie bez żadnego z mej strony powodu, strzelał pięć razy i nie trafił. Odprowadźcie go panowie do najbliższego więzienia, a ja idę zaraz zdać o tem sprawę królowi. Wszak nie potrzebuję mówić panom, że jestem hrabia von Boesewerk, pierwszym ministrem.

Potem wyjąwszy z kieszeni chustkę, owinął lekką ranę odniesioną w rękę, i zawrócił ku pałacykowi królewskiemu, odległego zaledwie o paręset kroków od miejscowości w której miała miejsce wyżej opisana napaść.

Dwaj oficerowie zdali zabójcę nadbiegłej straży, a jeden z nich, pojmując ciążącą na nich odpowiedzialność, towarzyszył zatrzymanemu aż do więzienia w którem go zamknięto. Więzień nie chciał odpowiadać na zadawane mu pytania.

Gdy wreszcie tłum przypomniał sobie Benedykta Turpin, już go nie było; z resztą prędko zapomniano o nim, gdyż wszyscy mieli teraz ważniejszy powód zajęcia.

My korzystając z tej sposobności rzucimy okiem na osobistości mające odgrywać główne role w tem opowiadaniu; przedewszystkiem jednak poznajmy grunt na jakim mają manewrować.

Prussy, ta kraina najmniej niemiecka ze wszystkich prowincyi niemieckich, są zlepkiem różnych rass; prócz Niemców; zamieszkuje tu wielka liczba Słowian, Wendów, Kaszubów, Łużyczan, Polaków, Litwinów, oraz potomków dawnych Franków, a król pruski nosi po dziś dzień tytuł księcia kaszubskiego.

Książę Frederyk, pierwszy założył podstawy, nie wielkości, ale pomyślności rodu Hohenzollern'ów. Był on największym swego czasu lichwiarzem; równie jest niepodobnem obliczyć ile złota wydusił z żydów, jak powiedzieć jakimi sposobami tego dokonał. Najpierw służył cesarzowi Wacławowi; widząc iż chyli się do upadku, przeszedł do obozu współzawodnika jego, cesarza Ottona, a zmiarkowawszy iż i ten blizkim jest utraty korony, oświadczył się za bratem Wacława, Zygmuntem.

W roku 1400, w tym samym w którym Karol VI nadał szlachectwo złotnikowi Rasul'owi, za to że

mu pożyczał pieniędzy. Zygmunt zniewolony potrzebą, pożyczył od Fryderyka 100,000 florenów w złocie, oddając mu w zastaw margrabstwo Brandeburgskie. Kiedy w piętnaście lat później, tenże Zygmunt winien był Fryderykowi aż 400,000 florenów, a nie był w stanie ich zapłacić, odstąpił mu za tę cenę Marchię Brandeburską, z nadaniem godności elektora. W roku 1701 elektorat zamieniony został w królestwo, a książę Fryderyk III został królem Fryderykiem I i przybrał tytuł „króla pruskiego”.

Hohenzollern'owie posiadają wszelkie wady i przymioty swoich krajowców, i dla tego finanse pruskie były zawsze doskonale administrowane, ale bilans moralności rządu, nader rzadko równoważył z bilansem finansowym. Hohenzollern'owie trzymali się zawsze jednej polityki, wykonywając ją z większą lub mniejszą obłudą i chciwością.

I tak w roku 1525, Albert Hohenzollern, wielki mistrz Krzyżaków, wyrzekłszy się swej wiary przeszedł na luterską, i został za to uznany dziedzicznych księciem Prus, pod zwierzchnictwem Polski: w roku 1613, elektor Jan Zygmunt, chcąc pozyskać dla domu Hohenzollern'ów księztwe Klewii, poszedł za przykładem Alberta, i został Kalwinem.

Leibnitz streścił w kilku słowach politykę wielkiego elektora „łączą się z więcej dającym”. Jemu to Europa zawdzięcza powiększenie armii stałych. Ożenił się powtórnie z ową słynną Dorotą, która pozakładała w Berlinie mleczarnie i szynkownie, i w tych sprzedawano na jej korzyść mleko i piwo. Co do Fryderyka II, któremu nie zaprzeczamy sławy wojennej, ten także nie odznaczał się moralnemi zasadami; on to obmyślił i dokonał pierwszego rozbioru Polski, fabrykował fałszywą monetę i t. p. Ponieważ zszedł z tego świata bezdzietnie, wstąpił po nim na tron synowiec jego Wilhelm II, który wtargnął do Francyi w 1792 r. Wkraczał do niej z wielką pompą, poprzedzony manifestem księcia Brunświckiego, wychodził zaś cichaczem, w towarzystwie Danton'a i Dumourier'a.

Po nim nastąpił syn jego, Fryderyk-Wilhelm III, w miesiącu czerwcu 1840 r. Zwyczajem Hohenzollern'ów, utworzył najpierw ministeryum liberalne i wyrzekł te słowa do Aleksandra Humboldt'a:

— Jako szlachcic, jestem najznakomitszym w kraju, ale jako król jestem tylko pierwszym jego obywatelem.

Liberalizm Wilhelma III skończył się na słowach — reakcya szła swoim trybem. Był on, łącznie z królem bawarskim, Ludwikiem, najwięcej naukowym z panujących wówczas książąt; ale król Ludwik bawarski zachęcał sztuki piękne pod jaką bądź przedstawiały się postacią, kiedy przeciwnie Fryderyk-Wilhelm mustrował je na korzyść absolutyzmu, zmuszając do cofania się wstecz.

Po sześciu latach rewizyi, zamykania dzienników, skazywania na wygnanie, zebrał się nareszcie sejm pruski w Berlinie; w mowie zagajającej posiedzenia król Fryderyk-Wilhelm powiedział do deputowanych:

— Nie zapominajcie panowie, że przedstawiacie tu „nie uczucia ludu, ale jego interesa”.

Nieco później, w tymże roku, drąc konstytucyę, monarcha ten powiedział:

„Nie chcę aby szmat papieru stawał między moim ludem a Bogiem”.

W roku 1848 wybuchła w Berlinie rewolucya; król stracił głowę. W chwili gdy opuszczając stolicę, przechodził obok martwych zwłok poległych powstańców, tłum krzyknął: „Odkryć głowę” i zmuszony był zdjąć kapelusz, a lud śpiewał słynny hymn układu wielkiej elektorowej:

„O Jezu! Jezu! jedyna nadziejo!

I tym razem zwyciężyła reakcya. Jakkolwiek dnia 6 lutego 1850 roku Wilhelm IV zaprzysiągł ustawę stanowiącą dwie Izby, jednakże zaczęły one funkcyonować dopiero za jego następcy, obecnie panującego cesarza.

Około owego czasu wystąpił na widownię hrabia Edmond von Boesewerk, jako pierwszy prezes w Królewcu, który tak wielką odegrał rolę w sprawach niemieckich, a może ważniejszą jeszcze odegra w przyszłości. Król panuje a on rządzi, — musimy pomówić o nim w oddzielnym rozdziale.

(D. c. n.)

WANDA.

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH.

Na podaniach polskich osnuty,

napisany wierszem rymowym

przez

JÓZEFA GRAJNERTA.

Z muzyką do kilku pieśni

ś. p. St. Moniuszki.

(Wykończony ostatecznie w Warszawie d. 26 Września 1880 r.)

(Dalszy ciąg).

Akt III.

(Chata na pół rozwalona w lesie, jak w Akcie I-ym).

Scena pierwsza.

BABA-JAGA *(siedzi na ławie przed chatą i przędzie, na pół śpiewając).*

Kręć się krężołku, lataj wrzeciono,
Dziś mocna przędza bardzo popłaca,
Leszkowi stryczków brakło już pono,
Niechże się na coś przyda ma praca.

(Ściemnia się. Wicher się zrywa.)

Jak ciemno! Wicher wszystkich sił natęża,
Wyje, jak niegdyś wył mi na śmierć męża...
Ciszej, Poklusie! jeszcześ nie na dobie;
Jak wszystko skończę, przyjdź i weź mię sobie.

(Wstawszy, zrywa gałązkę z drzewa i macha nią w cztery strony świata.)

Chytry ty wichrze, w zamorskiej jaskini,
Czemu nie wisisz u rdzawych łańcuchów?
Siedź w zaświatowéj przykuty pustyni,
Ja dziś nie pragnę twych dzikich podmuchów.
Lecz, miłe—wiatry! chmur tych kłęby weźcie
Na lotne skrzydła swoje i zanieście
Za kręte góry, za ocean-morze,
Za żółte piaski; niech Wicher tam w norze
Pustéj zalegnie i przepadnie precz!
Chytry Pochwiście, wstecz, wstecz, wstecz!

(Wyjaśnia się.)

Scena druga.

WANDA *(wchodząc).*

Bożek-pogody próśb moich wysłuchał,
Zgniewany Wicher już się udobruchał,
I jasne lico Światowita w dali
Złocistym muska uśmiechem po fali;
Wszystko się niemą lubością zachwyca,
A tylko w sercu mém ból i tęsknica...
Tyle żałoby w jedno smutne lato!
Piękny świat marzeń runął już w otchłanie,
Wichr nieszczęść z jękiem wpadł w rodzinne progi:
Zabrał mi brata, a wślad za tą stratą
Umarł i ojciec, przepadł Bogdal drogi...

BABA-JAGA *(na str.)*

Jakże to dobrze idzie już Leszkowi.
Słuchajmyż pilnie... niech coś więcéj powié...

WANDA.

Za ślubny wieniec ma kochanki łkanie
I czarną rozpacz, tém sroższą, iż ślady
Zniknęły nagłéj i jego zagłady...
Czemuż, gdzie chmurny Leszek zwróci kroki,
Tam zaraz czerni za nim grób głęboki?...
Dokoła stawia słupy szubieniczne,
Mnie wydarł Wawel, i w kraje graniczne,
I w państwo całe powoli się wkrada...

BABA-JAGA *(na stronie).*

I ty przepadniesz!

WANDA *(zwracając się ku chacie).*

Jakaż na to rada!?
Brak nam Bogdala...

BABA-JAGA.

Powitać, królewno!
Co dasz, turkawko, to powiem na pewno
Coś o Bogdalu?

WANDA.

Zapłacę-ć sowicie;
Potom tu przyszła.

(Zdejmując naszyjnik perłowy.)

Masz!

BABA-JAGA.

Perły! a jak duże!
Więc się nie lękaj o Bogdala życie;
Jest zdrów; za chwilę coś więcej wywróżę.

WANDA.

Żyje? on, Bogdal! — dzięki, wielkie bogi!
Gdzie jest? O, powiedz, nie stawaj w pół drogi.

BABA-JAGA *(na stronie).*

Przy jednym ogniu piekę dwie pieczenie;
Ostatnie zgładzę Leszkowi zawały.

(Głośno.)

Zaraz, królewno skrócę twe cierpienie.

(Wchodzi do chaty.)

WANDA *(sama).*

W rajskie mi barwy świat się ubrał cały...
Wszystko znów wabi do życia w tej chwili:
Ten ptak, co na cześć Światy-bora kwili
Złote piosenki po zielonym lesie,
Myśli me z śpiewem w kręgi niebios niesie, —
Te wody, gwarząc turzycą z wiatrami,
Wezbrały mego łona rozkoszami. —
Lecz... czy to wszystko nie złudą daremną?
Wielki Perunie! zmiłuj się nademną.

BABA-JAGA *(wróciwszy z czarnym dzbanuszkiem w ręku).*

Jak bliską jest łza ze swoją łzawnicą,
Jak blizkiem drzewco jest ze swym toporem,
Tak masz być bliską ze swą tajemnicą,
I niemą, jako skała na Wawelu.
Masz! dziś to wypij, idąc spać wieczorem:
Żaśniesz snem błogim; po chwilach niewielu
Ujrzysz Bogdala w sennéj, słodkiéj marze, —
On ci niebawem w śnie swój pobyt wskaże.

WANDA.

Dzięki ci! cała zaklnę się w milczenie,
Choćbym lat siedem żyła jak kamienie.

(Wychodzi.)

BABA-JAGA *(sama)*.

Ha, ha, ha! zamiast ślubnego poleju,
Ha, ha, ha! napój dostała szaleju.
Ha, ha, ha! zaśnie kamieniem téj nocy,
Umrze jak kurczę w powolnej niemocy:
Dziewczę, gdy tyle szaleju wypije,
Wprzód szaléć będzie, nim napój zabije...
Jakże mi teraz będzie syn dziękować!
Ha, ha, ha! pójdźmy te klejnoty schować.

(Wchodzi do chaty.)

Scena trzecia.

(Odgłos rogów. Wchodzą: Leszek i Dybalt. Zdala przystają dwaj Siepacze z toporami.)

LESZEK *(w purpurze, z mieczem u boku, koroną na głowie i czarnym dzbanuszkiem w ręku, do Dybalta)*.

Wielcem ci wdzięczny wieszczu, żeś mię skłonił,
Iż Wandzie-m z ręki ten napój wyronił.
Dopiero mieczem przyparłszy zuchwałą,
Z gardłam jéj dobył tajemnicę całą:
Szuka Bogdala, co zdołał ujść w porze
Przed szubienicą. A! to płyn, co może
Sen dziwnéj mocy sprowadzić na człeka;
Kto go wypije, — z bliska i z daleka
Wszystkich się rzeczy jak najskrytszych dowie.
Żal mi, żem wcześnie nie uciął mu głowy
Jak Lumirowi. Kto działa w połowie,
Źle działa. A więc korzystam z jéj mowy.

(Popija.)

Otóż uprzedzę ją w skrytym zamiarze, —
Gdy we śnie Bogdal swój mi pobyt wskaże,
To jak miecz ostry wrzepię mu w jelita,
Już się oń Wanda nigdy nie dopyta.

DYBALT.

Kończ, królu, napój wychyl do ostatka.

LESZEK.

Piję powtórnie, witaj tajemnico!
Rozwiąż się bystro.

(Wychodzi z chaty Baba-Jaga.)

DYBALT.

Ot, idzie i matka.

(Leszek wypiwszy rzuca dzbanuszek o ziemię.)

BABA-JAGA *(patrząc się na skorupy)*.

Synu! coś zrobił?!

LESZEK *(zaczynając szaléć)*.

Co? — Co? — Czarownico!
Jam nie twym synem. Przyszedłem po leki:
Chcę ulgi, chłodu, chcę od zgryzot spieki...

BABA-JAGA.

Tyś nie mym synem? O! podła gadzina.

LESZEK *(pogardliwie)*.

Ha, ha, ha! Matka? Stara jędzo wściekła!
Odkąd mam berło, nie masz we mnie syna.
Idź! bo cię miecz ten pośle w czeluść piekła.

BABA-JAGA.

Jam nie twa matka? Zaprzańcze wyrodny!
Zgiń, jak pies rudy, zdechnij jak pies głodny,
Gdy napój czerep szaleństwem rwać będzie,
Na które jeszcze mogłabym dać leki.
Matki przekleństwem idź ścigany wszędzie:
Niech w twojém łonie wzbiorą pragnień rzeki,
Mór, głód przed tobą niech się trupem wali!
Idź! zgiń! przepadnij! Niech cię piorun spali!

DYBALT.

Już czas ją zgładzić.

(Klaszcze w dłoń dwaj Siepacze zbliżają się powoli.)

LESZEK *(ponuro)*.

Tak, zgładzić ją gładko.

DYBALT *(do Siepaczy)*.

Słyszycie!

BABA-JAGA.

Co te psy warczą!

LESZEK.

Hej, matko
Młynków mózgowych, co chcesz?

DYBALT.

Każ z gardziela
Wyrwać jéj język.

LESZEK.

I zjeść.

BABA-JAGA.

Moje oczy.
Spalą was, podli!

DYBALT.

Jeszcze się ośmiela
Grozić ci, królu; niech ją piekło zmroczy:
Oczy każ wydrzéć.

LESZEK.

Nie wydrą... Och! pali...

(Chwyta się za piersi.)

Niech będzie wydrą.

DYBALT *(do Siepaczy)*.

Zawlec ją w czachary,
Wyłupić oczy!

LESZEK.

Niech tam jak pies szczeka.

DYBALT.

Toż wyrwać język jéj plugastwem stary.
Daléj!

BABA-JAGA *(ciągnięta przez Siepaczy za scenę)*.

Zbrodniarze! straszna kaźń was czeka.

DYBALT.

Płocha jéj groźba umysł rozwesela.
Lecz królu! w grodzie nagła się wieść szerzy,
Wkrótce ją twoje potwierdzą dworzany,
Że z po za Karpat groźna chmura bieży:
Jak mur jodłowy tłumne Allemany
Sterczące spisami, pędzą w twe dzierżawy.
Królu! twa garstka Lechów im do sławy
Dróg nie stamuje.

LESZEK *(ciągle ponuro)*.

Proś ich na wieczerzę!...
Ha, ha, ha! śmiech mię do rozpuku bierze,
Jak tam ta jędza, z oczyma upiora,
Niby żarzewie świecić będzie nocą...

DYBALT.

Królu! do żartów nie po temu pora;
Allmany cieką z olbrzymów przemocą,
Wydrą ci berło, lecz ty dzierżysz w dłoni
Korbę przeznaczeń, — mogą zmieknąć oni.

LESZEK *(patrząc się w ziemię)*.

Gdy matka: Leszku! Leszku! wołać będzie,
Cóż jéj tam głosu zastąpi narzędzie?...
Ciekawym? Ha, ha! śmiesznie bez języka...

DYBALT *(na stronie)*.

Coraz to lepiéj! Rozkosz mię przenika:
Z szalonym łacniéj, co myślę, dokażę.

(Głośno.)

Królu! ja mówić chcę o Rytogarze;
Oddaj mu Wandę za żonę dziś jeszcze,
A groźne spędzisz, precz, chmury złowieszcze.

LESZEK *(zrzuciwszy z głowy koronę)*.

Czy ty grać umiesz? — Patrz! ja cały w tanach;
Pójdź ze mną w pląsy tu, tu, na kurhanach.

(Wchodzą: Wanda, Skarbimirz, Lesi, po chwili dwaj Siepacze, wróciwszy, stają na stronie.)

(D. c. n.)

TRZY MIESIĄCE W CHORWACYI.

Wspomnienia z podróży po Austryi i Węgrzech

przez

LUIDEVITA PRIJATELI,

przekład J. B.

(Dalszy ciąg).

VIII.

Lnd chorwacki szczególniejszą czcią otacza ludzi, którzy świetnemi czynami lub długim szeregiem zasług dla dobra kraju, zapisali nazwiska swoje na kartach dziejów.

Obok Jellaszica i Strossmayera, wielkich patryotów spółczesnych, Ludwika Gaï, Preradowicza i Gundulicza, wielkich poetów narodowych, których nazwiska nadano najcelniejszym ulicom miasta, Zagrzeb nie mógł nie otoczyć czcią i uwielbieniem tej rodziny bohaterów, którzy mogliby zawołać z dumą: „krew nasza zaczerwieniła sztandary Węgrzech i Chorwacyi”.

Mówimy o hrabiach Zrinskich, panów na Czakaturn, w hrabstwie Waraždin, których pałac, zniszczony przez Turków na początku XVI-go wieku, został później odbudowany pod nazwą Zerinwar. W przeciągu niespełna wieku, czterech członków tej rodziny poległo w wojnach przeciw Turkom. Jerzy Zrinski, syn Mikołaja i Katarzyny Fragipani, zwyciężył Skandenberga w roku 1581; miał zaledwie lat 25 gdy cesarz mianował go gubernatorem Kanizzy. Odniósł liczne zwycięztwa nad nawiernymi, a syn jego Jerzy, ban Chorwacyi w 1622, odstąpił tę godność Zygmuntowi Erdödy w 1626 roku, a sam poszedł walczyć z dziedzicznym wrogiem.

Odciąwszy głowę Turkowi w jakiejś potyczce, pokazał ją księciu Friedau, mówiąc: „Tak należy traktować wrogów cesarza”!

Biedny, nie mógł przewidzieć że w jakiś czas później, kat wiedeński wypowie też same słowa w Wiener-Neustadt, pokazujęc ludowi głowę jego synowca!

Książę Friedau wzdrygnął się na widok krwawego tego trofea i na takie okrucieństwo, i odrzekł zimno:

— Widziałem odcięte głowy, ale sam nigdy ich nie odcinałem.

Podanie mówi że ten czyn Zrinskiego, tak rozgniewał i oburzył księcia, iż kazał go otruć zaprosiwszy do siebie na obiad w Presburgu. Bez zaprzeczenia była to zbrodnia stokroć wstrętniejsza, okrutny czyn Zrinskiego niegodny chrześcianina i niczem nie dający się usprawiedliwić — boć Zrinski nie był mu wrogiem. Cesarz Ferdynand

bardzo boleśnie uczuł śmierć dzielnego wojownika.

W pół wieku później, Piotr Zrinski, prawnuk poprzedniego, także ban Chorwacyi, niemniej tragiczną zginął śmiercią. Przez żonę swoją, Annę Katarzynę Frangipani wciągnięty do spisku przeciw cesarzowi Leopoldowi, został ścięty w Wiener-Neustadt w roku 1671 wraz z dwoma swemi wspólnikami. Syn jego, Piotr, zmarł bezdzietnie w roku 1703, a córka, Helena, ostatnia z rodu, zaślubiła księcia Jerzego Rakoczego, wojewodę Transylwańskiego, a po jego śmierci weszła w powtórne związki z hrabią Emerykiem Tekeli, przywódzcą chłopskiego powstania w Węgrzech.

Po porażce Tekelego, przezwanego królem chłopów (1681) żona jego zamknęła się w fortecy Munkacz, której broniła dzielnie przez lat kilka, z garstką chłopów który pozostali wierni jej mężowi, zmuszonemu schronić się do Azyi. Poddała nareszcie Munkacz w roku 1687, i zmarła w Galaczu w 1703 roku.

Taki był koniec bohaterskiej rodziny Zrinskich, którą szczycą się Chorwaci i Węgrzy.

Nadając jednemu z najpiękniejszych w mieście placów nazwę *Zrinskiego*. Zagrzeb pragnął głównie uczcić Mikołaja Zrinskiego, chorwackiego Leonidasa, który około XVI-go wieku powstrzymał hordy tureckie pod murami Szigedu, z garstką Chorwatów, a pokonany nareszcie kilkakroć przewyższającą siłą, wolał zginąć wraz z 217 towarzyszami, niż poddać się wrogowi. Cała Chorwacya postanowiła uzupełnić ten hołd oddany przez Zagrzeb bohaterowi z pod Szegidu, wzniesieniem mu pomnika ze składek publicznych.

Przy placu Zrinskiego stanął *Pałac sztuk pięknych* w stylu odrodzenia, z kolumnami i frontonem w porządku jońskim, do którego przeniesione być mają niektóre przedmioty z Muzeum archeologicznego, i piękna galerya obrazów, którą czcigodny biskup Strossmayer podarował narodowi.

Przedsionek gmachu zdobią popiersia dwóch sławnych malarzy chorwackich, Klowiusza Klowicz i Andrzeja Medulicza, więcej znanego pod nazwiskiem Andrzeja Schiavane. W około placu powstają coraz nowe wspaniałe budowle, jak pałac hrabiego Burati, barona Vranizani, które mogłyby stać się ozdobą najcelniejszych ulic Paryża lub Wiednia, pałac Sprawiedliwości, w którym odbywają się posiedzenia trybunału cywilnego, sądu apelacyjnego i kasacyjnego, zwanego Izbą Septemvirów.

Plac ten wysadzony drzewami i otoczony ogrodami, jest nader miłem miejscem przechadzki. Dwa razy na tydzień grywa tu muzyka wojskowa. Tu zbiera się świat elegancki i najwyższe towarzystwo oraz studenci uniwersytetu oczekujący na swoje narzeczone, do których zalecają się pod okiem rodziców, zachęcających i układających zawczasu zamierzone związki. Młode pary mają się pobrać po ukończeniu nauk i zapewnieniu sobie jakiegoś niezależnego stanowiska, zapewniającego utrzymanie małżonków. W wielu rodzinach zamieniają wzajemne przyrzeczenia w 14 lub 15 roku życia; są one powszechnie wiadome, i zawsze święcie dotrzymywane. Podobne zaręczyny tak weszły w obyczaj u Chorwatów, iż prawie nie ma dorastającej dziewczyny, której serce byłoby wolnem.

Powiadają ze pewien uczciwy przemysłowiec, dorobiwszy się za granicą znacznego majątku, powrócił do kraju chcąc się ożenić; ale że przed opuszczeniem rodzinnej ziemi nie pomyślał o wybraniu sobie narzeczonej, nie znalazł w swojej sferze ani jednej dziewczyny nie związanej przyrzeczeniem, której wolno byłoby iść za niego.

Jednakże nie sama tylko Chorwacya i Zagrzeb posiadają przywilej tych przedwczesnych zaręczyn rodzących miłość przedwcześnie może, w rozmarzonych sercach, — i w Hiszpanii praktykuje się to od najdawniejszych czasów; nie moglibyśmy jednak ręczyć, czy w obu krajach jednakie wynikają następstwa. Nie może przecież ujść uwagi bezinteresownego dostrzegacza, niewinna, pełna swobody i powabu zalotność i jaśniejąca na wszystkich twarzach kobiecych, niewysłowiony wdzięk całej ich postaci, błyszcząca w oczach radość jakiej doznają czując że żyją i że są piękne, słysząc to z ust nieobojętnych.

Piękność rasy słowiańskiej przedstawia się tu w całym blasku: pełna prostoty, powabu i uroku, posiada jakąś sobie tylko dostępną tajemnicę zachowania liliowo-różanej cery pomimo gorących promieni słońca, bezlitośnie opalających innych śmiertelników. Jeden z poetów powiedział „że Zagrzeb, to muzeum pięknych kobiet" i miał słuszność; — wiele Zagrzebianek podobnych jest rzeczywiście jakby do żywych, wystąpionych z ram obrazów, lub do posągów zstępujących ze swych piedestałów. Są tu typy greckie, włoskie, słowiańskie, żydowskie, czyste i pomieszane, godne pendzla Verose'a, Tycyan'a, lub narodowych malarzy Klowiusza i Andrzeja Medulicz'a.

(D. c. n.)

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

1 kwietnia 1881 r.

Moda, samowładna co do kroju sukien i okrywek, pod względem kapeluszy, zostawia wszystkim najzupełniejszą swobodę; każda z pań może je dobierać stosownie do wzrostu swego, do gustu i do rodzaju twarzy. Rozmiary w nich najrozmaitsze: u jednych rondko malutkie przylega do włosów po nad czołem; całą ozdobę stanowi upięta z wierzchu gerlanda lub egretka; inne znów mają szerokie rondo, podpięte djademem z kwiatów. W okrągłych kapelusikach większe jeszcze odmiany: widzimy je w formie toczków; berecików, pasterek i t. d. Mimo tej rozmaitości, są jednak właściwe im wszystkim wspólne cechy. Do tych należą jaskrawe kolory wstążek i kwiatów, zdobiących strojne kapelusze. Spostrzegamy tu wszystkie odcienia różowe i pąsowe, zaniedbany od dawna kolor łutowych wisien (cerise) powraca dziś do mody; obok niego pojawia się inny jasno pąsowy zwany *koralowym*. Z kwiatów najmodniejsze róże bez liści, ułożone w wieniec do cieniu, zacząwszy od blado różowej, a kończąc na ciemno szkarłatnej. Do czarnych błądynowych kapeluszy, przyjęte torsady i koronki stalowe. Wielkie brosze służą zawsze do przytwierdzania kokard i egretek, ale i w tych uderza zmiana. Miejsce błyszczących skarabei, zastąpiły lawowe żółwiki, i maleńkie figurki ludzkie w rodzaju antyków egipskich, złote, srebrne lub oxydowane. Nowość stanowią także torsady ze słomki przerabianej ze stalą; te torsady mieszają się z błądyną czarną, lub niekiedy naszyte na klejonej formie, tworzą cały kapelusz. Kolor złoty, *viel-or*, upowszechniony w roku zeszłym, zachował jeszcze całą wziętość.

Po tych ogólnych uwagach, wyliczymy kolejno dziesięć kapeluszy, zakupionych na model tu w Paryżu przez pp. Kuhnke.

Strojna kapotka czarna, cała nagarnirowana hiszpańską błądyną: rondko średniej wielkości, odwinięte nieco do góry, pod rondkiem z jednej strony bufka z aksamitu *caroubier*, z drugiej rząd róż do cieniu: pierwsza tego koloru co aksamit, ostatnia zaś blado różowa. Po bokach dwie szarfy z tiulu czarnego, ogarnirowane błądyną; jedna z nich spada wolno, druga pokryta wieńcem z różanych pęczków z liśćmi, przechodzi pod brodę i przypina się z przeciwnego boku.

Druga kapotka, cała złożona z torsadek słomkowych, przerabianych ze stalą. Rondko maleńkie, płaskie, naszyte słomkowemi grelotkami i stalową frendzelką. Po nad niem wieniec z granatów w koralowym odcieniu, wyżej jeszcze egretka z piórek *viel or*, przytwierdzona do główki. Szarfy do wiązania szerokie, długie, z wstążki atłasowej, w kolorze koralowym.

Trzeci kapelusz czarny tiulowy; główkę pokrywa fanszonik bogato naszyty dżetem, zakończony u dołu frendzlą dżetową. Rondko małe objęte dwoma rzędami wielkich dżetowych pereł ze złotem. Od główki spada na rondko, lekka błądyna czarna, przepięta dżetowym żółwikiem. Z boku egretka z czarnych piórek. Szarfy atłasowe czarne, od góry nagarnirowane błądyną.

Czwarty kapelusz czarny tiulowy: główka dosyć szeroka, cała naszywana w palemki, słomą i blaszkami stalowemi. Rondko podniesione w górę, podpięte diademem z róż do cieniu, objęte torsadą ze słomki i stali. Na główce upięty wielki bukiet z róż i liści w rozmaitych odcieniach.

Przejdzmy teraz do okrągłych kapelusików. Najstrojniejszy z nich w formie bereta, cały złożony z torsadek słomkowych ze stalą, w koło objęty grelotkami. Od czoła do lewego boku przechodzi oryginalna gerlanda: tworzą ją cztery pęczki odmiennych kwiatów. Naprzód idą białe margerytki, dalej ciemne aurykle, potem żółte jaskry, nakoniec modre niezapominajki. Od tyłu spada na warkocz kokarda, z blado błękitnej wstążki atłasowej, z długiemi końcami.

Drugi kapelusik dosyć wysoki, z główką stożkowatą, rondkiem od brzegu odwiniętem. Na tem odwinięciu dana torsada dżetowa z grelotkami, pod rondem naszyty aksamit czarny. W koło główki idzie szarfa z czarnej błądyny hiszpańskiej złączona w tyle wielką dżetową broszą. Dopełnia ubranie wpięty nad czołem diadem z kapryfolii do cieniu. Takiż bukiet ozdabia z przodu główkę.

Trzeci kapelusik z białej słomy. Rondko podniesione w górę, objęte torsadą ze słomki i stali, podbite atłasem, koloru złotego *(viel or)*. Nad rondem wielka kokarda z takiegoż atłasu przepięta strzałą stalową od niej na dwie strony spadają dwa strusie pióra w kolorze złotym.

Czwarta *pasterka* dosyć wielka, z białej słomki brukselskiej, podniesiona z boku fantastycznie. Rondko podgarnirowane błądyną koloru żółtawego *(maïs)*, z boku, na podniesieniu, podpięta gerlanda z sześciu róż w rozmaitych odcieniach. Nad rondem spada długie pióro koloru *maïs*.

Piąta *pasterka* czarna także ze słomy brukselskiej; rondo podbite różowym atłasem. Z wierzchu ugarnirowana koronka czarna, podłożona wstążką różową. Z tyłu wpięty okrągły wianek złożony z sześciu małych różyczek: od niego spadają długie końce różowe atłasowe, pomieszane z pączkami róży.

Szósty kapelusik mały ze słomki brukselskiej, upięty cały atłasem czarnym, broszowanym w zło-

tawy deseń. Z boku pęczek piór do cieniu, od koloru złotego do ciemno-brązowego.

Od kapeluszy przejdźmy do okrywek, między niemi przemagają wizytki, ta jedynie nastąpiła w nich zmiana, że rękawy przemarszczone u ręki, zbliżają je więcej do paletotów. Wizytki wyboru pań Kuhnke, odznaczają się gustem; wszystkie prawie z kaszmiru indyjskiego, ogarnirowane pasmanteryą i hiszpańską blądyną, przybrane kokardami ze wstążki atłasowej. Niektóre mają frendzlę dżetową.

Dla młodych panienek uważaliśmy mantylki z kaszmiru, albo z fularu *surrah*, z krótkiemi czworograniasto ściętemi końcami, obszyte frendzlą lub koronką. Końce u jednych puszczone szeroko, u innych przemarszczone w pośrodku; na przemarszczeniu idzie kokarda ze wstążki atłasowej.

W kołnierzykach i krawatach wielką widzimy rozmaitość. Zwróciły uwagę naszą wielkie węzły upięte sztucznie z gazy śmietankowej, przerabianej jedwabiem, ogarnirowane guipurą w nowym rodzaju. Wielkie te węzły pokrywają stanik do połowy. Robią je także z gazy koloru złotego (viel or) ogarnirowane takąż blondyną hiszpańską.

W kołnierzykach zupełną nowość stanowią koronkowe, tworzące w tyle małą chusteczkę; na rogu przytwierdzonym do pleców wpięta kokarda z wązkiej wstążki atłasowej w kolorze śmietankowym. U szyi idzie płaska koronka odwinięta na wstążkę, której końce służą do wiązania. Mankietki do tego odpowiednie, kładą się na wierzch; tworzą one ząb, przybrany kokardą z wązkiej wstążki.

Inny podobny kołnierzyk, ma trzy zęby, spadające na plecy i ramiona. U szyi dodana fryzka koronkowa.

Skromniejsze kołnierzyki z płótna i półbatystu, odznaczają się także wielkim rozmiarem. Forma w nich rozmaita: jedne ścięte okrągło po bokach, drugie w kształcie marynarskich, inne mają zęby tak w tyle jak po bokach. Nie ma na nich żadnego haftu; całą ozdobę stanowi plisowana falbanka na trzy cale, z wolansienny lub guipury. Mankietki do tego stosowne, obszyte koronką plisowaną, kładą się na wierzch rękawa.

Dodajmy słówko o czepeczkach. Dla starszych osób zwrócił uwagę naszą bardzo ładny z blądyny czarnej; tworzył on mantylkę hiszpańską. Końce tej mantylki spięte były w tyle, na kokardę ze wstążki atłasowej, z lewego boku trzy róże caroubier do cieniu, stanowiły całą ozdobę.

Drugi czepeczek z czarnej hiszpańskiej blądyny, przerabianej w deseń jedwabiem koloru złotego, miał nad czołem grolotki dżetowe, w tyle wielką kokardę z czarnej atłasowej wstążeczki, spiętą na broszę dżetową.

Śliczny był także negliżyk z indyjskiej gazy ogarnirowany przezroczystą koronką. Z przodu kokarda z błękitnej wstążki atłasowej, tworzyła wielkiego motyla od tyłu dwie długie szarfy błękitne, spadały na warkocz i na plecy.

W wielkim zbiorze kwiatów, piór strósich i kapłonich czyli amazońskich i egretek wszelkiego rodzaju, zwróciły szczególną uwagę naszą prześliczne róże w rozmaitych odcieniach, maczki pąsowe i *viel or*, odznaczające się nadzwyczajną lekkością, fijołki parmeńskie, bzy, piękne liście czeremki i t. d. Kwiaty panują dzisiaj w ubraniu; noszą je nietylko na kapeluszach, ale na krawatach koronkowych, na stanikach u zamkniętych nawet sukien.

Piękne suknie i kostiumy wyprawione ztąd na wyprawę w okolice Kijowa, opiszemy w przyszłem sprawozdaniu. Dodamy dziś tylko, że na suknie do letniego ubrania, leciuchna tkanina wełniana, zwana *voile de religieuse*, wielkiej używa tu wziętości. Będą ją nosić w rozmaitych kolorach: popielatym, śliwkowym, granatowym, szarym i czarnym. Do ubrania czarnych sukien, przyjęta koronka hiszpańska i pasmanterya ze stalą.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

+ Mamy w Warszawie kilka zakładów dla kobiet, pragnących kształcić się w zawodzie rękodzielniczym, lecz wstęp do nich możebny tylko dla osób z pewnem ukształceniem, i choć o tyle zamożnych, że mogą opłacać wynagrodzenie za naukę, niedostępne dla biednych pracownic — tak więc zakłady te nie mogą zastąpić braku elementarnej szkoły dla rzemieślniczek, odpowiadającej podobnymże szkółkom istniejącym dla chłopców, w których dziewczęta mające pracować po warsztatach, mogłyby uczyć się katechizmu, czytania, pisania i rachunków. Dawno już, osoby pragnące dobra ludu, a tem samem szerzenia wśród niego prawdziwej oświaty i zasad religii i moralności, przemyśliwały nad otwarciem podobnego zakładu, z celem czysto filantropijnym — dotąd jednak projekt nie przechodził w dziedzinę rzeczywistości. Otóż dowiadujemy się z „Kuryera Warsz.”, że pewna młoda osoba z wyższej sfery towarzyskiej, przeznacza znaczną dość summę na założenie szkoły dla rzemieślniczek i w tym celu ma być nabyty dom przy ulicy wspólnej. Szlachetną tą ofiarodawczynią jest hrabina P. Zawezwała pomocy ludzi kompetentnych. do których zalicza się jeden z budowniczych, mający się zająć odpowiedniem przerobieniem budynku.

Cześć zacnej i szlachetnej kobiecie umiejącej być *arystokratką* w prawdziwem słowa tego znaczeniu!

+ Czytamy ciągle w pismach głosy prasy wzywające do składek na rzecz biednych uczni pragnących światła i nauki, a którym zwierzchność szkolna odmawia wstępu do klas, z powodu że nie są w stanie opłacić wpisu. Powtarzamy tu w streszczeniu rozumny i uzasadniony artykuł, jaki w tym przedmiocie zamieściły „Nowiny” N-r 47.

„Sądzimy, opierając się na faktach, że gdyby panowie zwierzchnicy naszych szół średnich, zamiast zajmować się błahostkami, nie posuwającemi bynajmniej naprzód sprawy oświaty, gorliwiej pilnowali obowiązków swoich odnośnie do uwalniania uczni od opłaty, których według obowiązujących przepisów 10 proc. część może pobierać bezpłatną naukę, to smutna ta kwestya zupełnieby mogła być usuniętą. Obecnie — a mówimy to nie bezzasadnie — pp. dyrektorowie, na posiedzeniach z tak zwaną *niby* Radą pedagogiczną, gdzie mają się rozstrzygać losy uczni, i rozpatrując świadectwa ubóstwa przedstawione przez ich rodziców, stanowią często o tem czy ucznia uwolnić od opłaty, tak sobie, na chybił trafił, na jedno odczwanie się jakiegoś profesora nie trudząc się sprawdzeniem: czy rzeczywiście uczeń którego prośbę odrzucają, nie wart jest więcej uwzględnienia niż inny którego prośbę przyjęto. Piszący te słowa miał możność przez lat kilka patrzeć na podobne postępowanie. Sądzimy, że kwestya pozostawienia lub wydalenia dziecka ze szkoły — dlatego jedynie że biedne i nie może opłacić wpisu, jest dość ważną aby pobudzić tych od których rozstrzygnięcie jej zależy — do sumienniejszego jej zbadania; daleko ważniejszą, bez zaprzeczenia, od rozpatrywania i obliczenia ile zmyłek uczeń zrobił w *dyktandzie* i czy jeźli ich popełnił *12* zamiast *sześciu* lub *czterech* dać mu stopień *dobry*... lub tylko mierny... Czy panowie ci zastanowili się za jak straszne nieraz następstwa przyjmują odpowiedzialność wydalając ucznia ze szkoły — którego jedyną winą — że biedny?

„Czyż nie należałoby wzorem siostr miłosierdzia zwiedzających codziennie najodleglejsze ulice miasta, dla sprawdzedia wyjątkowej nędzy osób podających się o wsparcie, polecać, np. *pomocnikom klasowych gospodarzy* mającym nader małe zajęcie, aby przekonywali się naocznie o ubóstwie uczni, lub co jeszcze może lepiej, zapytywać kolegów, czy proszący potrzebuje rzeczywiście zwolnienia od opłaty. Koledzy znają zwykle dobrze wzajemne położenie. O ile mi wiadomo, żadna szkoła nie przedstawia więcej jak 10 proc. część uczni nie mogących rzeczywiście uiścić wpisowego; gdyby więc istniejące prawo było uczciwie zastosowywane przez pp. Dyrektorów, to wszyscy uczniowie mogliby chodzić do szkół swoich... Resztę niech Czytelnik w myśli swej dośpiewa”.

Do tych tak uzasadniodych słów p. T. T. nic donać nie potrzeba.

+ Piszą z Kalisza do „Kuryera Porannego:

„Od pewnego czasu zaniechano u nas rozlepiania klepsydr zawiadamiających o śmierci różnych osób, z powodu wydanego drukarniom rozkazu, aby nie drukowały innych klepsydr jak w dwóch językach. Pragnęlibyśmy wiedzieć na jakiej zasadzie wydano podobny rozkaz, aby koniecznie tak drukować klepsydry, chociaż osoba zmarła lub jej rodzina są ludźmi prywatnemi, należącymi np. do klasy ziemiańskiej, handlowej lub rzemieślniczej. Widać nakaz podobny jest wybrykiem samowolności, bo gdyby istniał podobny przepis, byłby przecież wykonywany tak w Warszawie jak w innych miastach gubernialnych. Drukują się wprawdzie klepsydry w dwóch językach, lecz tylko w razie jeźli zmarły jest urzędnikiem. — Otóż większość mieszkańców Kalisza i okolic, w razie śmierci kogoś z rodziny nie każe drukować klepsydr — dla uniknienia podwójnego kosztu — sądzimy że odwołanie się kogoś z osób interesowanych do Władzy wyższej, zapobiegłoby niezawodnie tak anormalnemu stanowi rzeczy”.

+ Krakowskie Towarzystwo Pedagogiczne zamierzyło urządzić „Bursę imienia J. I. Kraszewskiego, dla ubogiej uczącej się młodzieży” dotąd jednak brakło dostatecznych funduszów dla urzeczywistnienia tego chwalebaego i pożytecznego zakładu. Otóż ks. Jakób Filar, proboszcz z Włoszczy, postanowił darować na ten cel nabytą przez siebie nieruchomość w Drohobyczu, aby dobroczynna ta instytucya jak najprędzej mogła być wprowadzoną w życie. Tym szlachetnym czynem czcigodny ofiarodawca zapisze się niezatartemi zgłoskami w sercach wdzięcznej młodzieży i daje z siebie piękny przykład miłości kraju i szczerej troskliwości o jego dobro.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 23 Марта 1881 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

PEŁNOLETNOŚĆ PANNY BRIDOT.

przez

KAROLA DESLYS.

Przekład

K. P.

I.

Moliere i Balzac tak mistrzowsko przedstawili obraz skąpców, iż po nich zaledwie wolno naszkicować podobną postać, dla tego też powiemy tylko, że Józef Bridot, ojciec naszej bohaterki, naśladował zarówno Harpagona jak i Grandet'a. Co więcej, był to skąpiec spekulant.

Obrzynając srebrną i złotą monetę przechodzącą przez jego ręce, pożyczając na wysokie lichwiarskie procenta, obmyślał przedsiębierstwa i spółki, doprowadzające do nędzy jego wspólników, lecz wyborne dla niego. Zrobił tym sposobem majątek ogromny, wynoszący miliony;— ale za jakąż to nabył go cenę!

Chcąc poznać Józefa Bridot i zrozumieć położenie w jakiem się znajdował w epoce życia od której zaczyna się nasze opowiadanie, to jest w jesieni 1853 roku, wejdźmy do jego villi w okolicach Paryża, gdzie zamieszkał, czyli właściwie mówiąc, gdzie się schronił na schyłku życia.

Na zewnątrz jest to domek zrujnowany, smutny, otoczony wysokim omszałym i powyszczerbianym murem, przeciętym bramą żelazną, grubo rdzą pokrytą i nie otwieraną nigdy już od lat dziesięciu; na dziedziniec wchodzi się znajdującemi obok wązkiemi drzwiami, opatrzonemi małem zakratowanem okienkiem i wielkim nowym zamkiem. Na brukowanem podwórzu rośnie trawa między kamieniami; dalej widać ogród opuszczony, zarosły bujnem zielskiem. Na prawo puste i walące się zabudowania gospodarskie; na lewo domek niegdyś biały a teraz szary, z którego tynk poopadał miejscami, pokryty omszałym dachem. Wszystkie prawie okna pozasłaniane były brudnemi żaluzyami, skrzypiącymi za najlżejszym podmuchem wiatru. Cały dom jest milczący, posępny, zimny i przykre jakieś sprawia wrażenie.

W tym dniu jednak, to jest w ponury poranek miesiąca października, w ciemnej sieni domu rozlegały się przekleństwa i krzyki. Kilku poszkodowanych akcyonaryuszów i dłużników domagało się klnąc i grożąc aby ich wpuszczono do Józefa Bridot, którego nazywali bankrutem i lichwiarzem.

Stara już służąca, przestraszona i niespokojna, usiłowała namówić ich aby odeszli, a przynajmniej aby się uspokoili.

— Ciszej, panowie, ciszej, proszę was! pan mój jest chory, bardzo chory. Doktor przykazał mi, abym nie wpuszczała nikogo; powiedział że najlżejsze wzruszenie może go zabić! Przecie panowie nie życzą sobie pozbawić go życia.

Mówiąc to zwracała często oczy na otwarte drzwi od sieni, jakby ztamtąd oczekiwała pomocy, i rzeczywiście po niejakim czasie ukazał się na progu zadyszany chłopak.

— Ciotko! zawołał, spotkałem dwóch policyantów, przyjdą tu za chwilę.

Wszyscy umilkli nagle, a jednocześnie pod schodami odezwał się głos ostry i stanowczy:

— „Najście pomieszkania, groźby i obelgi; obecny tu pan Bouquaille już po raz drugi dopuszcza się tego przestępstwa, inni widocznie są jego wspólnikami: jest to sprawa prowadząca przed kratki sądu poprawczego”.

Z ciemności wynurzyła się łysa głowa, na długiej, cienkiej szyi, otoczonej białym pożółkłym krawatem, twarz koścista, bez zarostu, zielone okulary opierające się na haczykowatym nosie, a następnie długa i chuda postać w czarnym wytartym surducie.

— Skądże u licha! wylazła ta gadzina? zawołał najzawziętszy ze wszystkich Bouquaille.

— Ja także równie jak wy moi panowie, chciałem się widzieć z panem Bridot, ale czekałem spokojnie, cierpliwie, bez hałasu... i pozwalam sobie udzielić wam dobrej rady; to jest, uciekajcie ztąd jak najśpieszniej a przyjdźcie do mnie. Oto mój adres.

Jeden z nich wziął bilet i zbliżywszy się do drzwi przeczytał:

BONAMI
były obrońca,
mieszka przy ulicy Corbeau N-er 17 w Paryżu.

— Eh! zawołał Bouquaille, wyglądający na wieśniaka, każdy postępuje według swego przekonania, a moje...

— Twoje, panie Bouquaille, zaprowadziło cię już raz na piętnaście dni do więzienia, jeżeli ci panowie nie oddalą się natychmiast, to spotka ich toż samo, ty zaś pójdziesz do kozy co najmniej na dwa miesiące. Posłuchajcie mojej rady; jestem jeszcze młody, ale mam dużo doświadczenia.

Jakby dla poparcia tej przestrogi, siostrzeniec służącej zawołał:

— Już idą policyanci!

Bouquaille a za nim inni wynieśli się natychmiast z sieni, zabierając z sobą adres byłego obrońcy, który po ich odejściu odezwał się do służącej:

— Pozbyliśmy sie ich przecie, pani Maryanno, ale mam nadzieję że wywdzięczając mi się za udzieloną ci pomoc, wpuścisz mnie do pana.

— Nie mogę; doktor zabronił tego wyraźnie, przynajmniej do wieczora.

— Niech i tak będzie, przyjdę wieczorem, a tymczasem oddaj mu ten bilecik, uwiadamiający o powodach dla których chciałbym się z nim widzieć. Zresztą, idzie tu o własne jego dobro.

Służąca wzięła list i Bonami odszedł zacierając ręce z wyrazem zadowolnienia. Idąc przez podwórze, a nawet już na ulicy, odwracał często głowę i rzucał na domek pełne chciwości spojrzenia. Nozdrza jego rozdymały się jak u dzikiego zwierzęcia, węszącego ofiarę, po ustach przesuwał się chytry uśmiech.

Maryanna zamknęła drzwi od sieni i udała się do pana. Józef Bridot znajdował się w swoim gabinecie, na pierwszem piętrze. Koło niego z jednej strony stało wielkie staroświeckie biórko, z drugiej duża okuta skrzynia, naprzeciwko zaś na kominie tliło się parę na pół przepalonych głowni.

Siedział, czyli raczej leżał, na wielkim staroświeckim fotelu; twarz jego żółto-blada, oczy szkliste, wychudłe ręce, kazały się domyślać że uległ jednej z tych chorób na które nie ma lekarstwa. Tak też było rzeczywiście, cierpiał na chorobę serca tak już rozwiniętą, że lada chwila mógł skończyć życie.

Tylko długa i ciężka choroba mogła do tego stopnia wyczerpać siły człowieka tak silnie zbudowanego. Bridot był nizki, krępy, muskularny, posiadał silne zdrowie i uważał życie za swój skarb najdroższy. Jakkolwiek miał już sześćdziesiąt lat, rok jeszcze temu wyglądał na człowieka w samej sile wieku, teraz, otulony kołdrami i wsparty na poduszkach

kach, przedstawiał się jak bezsilny starzec. Jednakże wyraz ust, gęste i szerokie brwi, ogień tryskający niekiedy z zapadłych oczu, jak ostatnie połyski gasnącej lampy, zdradzały, że ten człowiek musiał posiadać niezłomną wolę.

Gdy Maryanna weszła, siedział przechylony na poręcz fotelu, z zaciśniętemi pięściami, z oczyma utkwionemi w posadzkę i przysłuchiwał się krzykom dochodzącym aż do niego.

— Niechże się pan uspokoi, rzekła, już wszyscy odeszli. Ktoś ich w błąd wprowadził i z tego powodu...

— Wiem czego chcieli, przerwał Bridot, słyszałem, a raczej odgadłem wszystko... Zawsze! zawsze to tamo.

W tych kilku słowach malowało się więcej zniechęcenia niż złości; następnie jakby osłabiony tem wysileniem, wsparł głowę na poduszce i przymknął powieki.

— Niech pan stara się zasnąć, powiedziała służąca; doktor mówił, że panu spoczynek bardzo potrzebny.

— Nie mogę spać, ale osłabienie już przeminęło... Muszę odzyskać siły... chcę je odzyskać, aby pozostawić interesa w porządku... Ale powiedzże mi, Maryanno, czy uwiadomiłaś moją córkę że chcę ją widzieć?

— Tak panie; najdalej za godzinę panna Teresa przyjdzie tu z klasztoru.

— Dobrze. Cóż to za list położyłaś na biórku?

— To od jakiegoś pana który ma tu przyjść znów wieczorem, aby, jak mówił, oddać panu jakąś przysługę.

— Podaj mi list. przeczytam go.

Przebiegł oczyma kilka wierszy i spojrzał na podpis.

— Bonami... zdaje mi się że słyszałem to nazwisko... Były obrońca... aha! przypominam sobie, wykreślono go z listy obrońców za różne szachrajstwa... Nie, mnie nie takiego potrzeba doradcy, ale człowieka uczciwego, którego sam wybrałem, adwokata Pawła Vaquelin. Biada tylko że mi dotąd nie odpowiedział... Czy wzywano go powtórnie, Maryanno?

— Tak panie. Przyrzekł że przyjdzie w tych dniach.

— Obietnica bardzo niepewna... zwłaszcza dla mnie... chciałbym już jak najprędzej... A! jakże ten Bonami odgadł moje najgorętsze życzenia! możnaby sądzić że powtarza dosłownie moje myśli,

Spojrzał znów na list i zaczął czytać zniżonym głosem, wolno, zastanawiając się nad każdem słowem:

„Czy nie pragnąłbyś pan uwolnić się na starość od wszelkich oskarżeń i wyrzutów, a później, później pozostawić swym spadkobiercom majątek nie podlegający żadnym sporom, nazwisko szanowane i spokój?...”

Zadzwoniono do drzwi od sieni.

— Może to Paweł Vauquelin? zawołał Bridot, Otwórz Maryanno... otwórz prędko!

A skoro odeszła, dodał:

— On tylko, on jeden może mi dać te dwa najdroższe skarby, spokojność obok posiadania i poważanie obok bogactwa. I to wszystko zdobędę za honorarium które mu zapłacę!

Po chwili służąca otworzyła drzwi, i Paweł Vauquelin wszedł do pokoju.

Znakomity adwokat, znany zarówno ze swych niepospolitych zdolności jak z nieposzlakowanej prawości charakteru i prawdziwej bezinteresowności nie mógł mieć więcej nad czterdzieści lat. Praca umysłowa przerzedziła włosy nad jego czołem, ale nie pokryła go zmarszczkami, nie pozbawiła świeżości jego prawdziwie męzkiej twarzy, na której malowała się wybitnie niezłomna prawość obok dobroci i szczerości. Z pogodnego i pełnego ognia spojrzenia, z prawdziwie galijskiego uśmiechu, łatwo było odgadnąć że to człowiek bystry, rozumny, posiadający wiele czucia i szlachetnego zapału, i że pomimo doświadczenia nabytego w szkole życia i wskutek swych zajęć, zachował jeszcze wiele wzniosłych młodzieńczych marzeń. Malarz bez wahania wybrałby tę twarz chcąc przedstawić zacnego człowieka.

— A! panie Vauquelin, zawołał Bridot z radością, jakże mam podziękować za tyle dobroci! Pan co tak często jesteś głuchym na wezwania bogaczów i ludzi zajmujących wysokie stanowiska, nie odrzuciłeś prośby biedaka złożonego chorobą! Zechciej też pan wierzyć...

— Panie Bridot, przerwał adwokat nie przyjmując ofiarowanego mu krzesła, byłem zmuszony przynieść panu odpowiedź. Oto są przysłane mi przez pana papiery.

— Przejrzał je pan tak prędko?

— Nie, odnoszę je panu.

— Jakto! nie przeczytawszy ich wcale? Czemuż to?...

— Bo nie chcę wiedzieć co się w nich zawiera,

Milczeli przez chwilę. Bridot powstał wspierając się na poręczy fotela i zbliżył się wolno do adwokata patrząc mu bystro w oczy. Pan Vauquelin zniecierpliwiony tem zamierzał odejść.

— Więc pan nie chcesz być moim adwokatem? zawołał zatrzymując go Bridot. Czy pan sądzi że muszę przegrać niektóre sprawy?

— Znam pana o tyle iż mogę być przekonanym, że wygrasz wszystkie.

— A więc dla czegóż mi pan odmawia?

— Ponieważ...

— Dokończ pan.

— Ponieważ byłoby zaszczytniej dla mnie przegrać je broniąc praw pana przeciwników.

— Więc pan sądzi że powinienbym przegrać?

— Prawo, które pan zna zbyt dobrze aby go przekroczyć jawnie, zapewnia panu zwycięztwo, ale przegrałbyś z pewnością gdyby ludzi zacni sądzili cię według swych zasad, stosownie do przepisów uczciwości.

Bridot wyprostował się zwolna. Na twarzy jego malowało się jakieś prawie dziecinne zdumienie, połączone z najżywszą ciekawością.

— Doprawdy, rzekł, nie rozumiem co...

— Nie mam ani zamiaru ani chęci tłomaczyć panu rzeczy tak niezrozumiałych dla pana. Chciałem tylko, przez wzgląd na wiek i stan zdrowia pana, oznajmić osobiście że nie mogę zająć się jego interesami; teraz więc pozostaje mi tylko pożegnać pana.

Wziął kapelusz i zwrócił się ku drzwiom.

Bridot uderzył się w czoło z takim wyrazem, jakby sobie wyrzucał że nie zrozumiał prędzej o co idzie.

— Chwilkę jeszcze, panie Vauquelin, tylko chwilkę! Wiem że jesteś przeciążony pracą, że każda chwilka czasu ma dla ciebie wielką cenę, że zresztą jako człowiek tak zdolny masz prawo wymagać sowitej zapłaty... a więc... jakkolwiek nazywają mnie skąpcem, uczynię chętnie jakieś ustępstwo dla tak znakomitego człowieka... Pragnę nadewszystko spokoju... spokoju za jaką bądź cenę. Oznacz pan sam jakiego żądasz wynagrodzenia.

Paweł Vauquelin posiadał charakter ognisty i nie umiał milczeć jeżeli go coś oburzyło.

— A! mój panie, zawołał, jakże już spadłeś nizko skoro możesz tak poniżać innych, i sądzić że bylebyś tylko zapłacił, znajdziesz nawet wśród uczciwych ludzi posłuszne sobie narzędzia, wspólników twych...

Teraz znów Bridot się oburzył.

— Wspólników! to już zanadto panie Vauquelin!... Proszę wytłomaczyć się jaśniej... wymagam tego!... Czy popełniłem jaką zbrodnię?

Vauquelin wahał się chwilkę, ale podniecany spojrzeniem pana Bridot zawołał:

— Zbrodnię... A więc tak, popełniłeś pan zbrodnię przeciwko społeczeństwu, zbrodnię podstępną, sprowadzającą najstraszliwsze następstwa. Nie myślę zapierać się tego, panie Bridot, że mam wstręt do lichwiarzy i bankrutów milionerów. Często sądy są zmuszone uwolnić ich od wszelkiej odpowiedzialności, ale ubolewając nad tem że ich ukarać nie mogą; a oni chodzą potem z podniesionem czołem, bez wyrzutów sumienia, wmawiając w siebie że zubożyli tylko kilku ludzi niedołężnych a chciwych bogactw, gdy tymczasem sieją dokoła siebie rozpacz i nędzę... Ludzie którym wydarli majątek doprowadzają do upadku innych, a ci znów innych, i złe szerzy się dalej, coraz dalej... Tu młodzieniec rokujący najpiękniejsze nadzieje, ginie marnie ze szkodą kraju, wśród najniższych warstw społeczeństwa, strącony przez ciebie z właściwego mu stanowiska. Tam młoda dziewczyna, doprowadzona przez ciebie nagle do nędzy, żostaje jedną z tych istot zgubnych dla wszystkich, nie wyłączając twoich dzieci, nawet ciebie samego!... Czem złe sięga niżej tem gorsze sprowadza skutki... Nienawiść ku możniejszym, pogardę majątków zdobytych nawet uczciwą pracą; upadek moralności, poczucia honoru i szacunku dla samego siebie. Słowem krzewisz zepsucie, nędzę, wszelkie nikczemności i zbrodnie do których ona doprowadza tak często! Więzienia są przepełnione nieszczęśliwymi którzy bez ciebie i tobie podobnych nie przestąpiliby nigdy ich progu! Wy to, moi panowie, doprowadzacie do upadku rodziny i narody, wywołujecie bratobójcze walki, bo wasze szalbierstwa, bankructwa i lichwa, to klęska straszniejsza od najgroźniejszej zarazy... to niewyczerpane źródło potoków łez i krwi... to owa kulka śniegu która spadając coraz niżej, powiększa się, olbrzymieje, a nakoniec zmienia się w lodozwały niosące śmierć i zniszczenie!... Wiem dobrze, panie Bridot, że zaślepienie twoje nie dozwoli ci uwierzyć temu co mówię i korzystać ze słów moich, ale dobrze abyś choć raz w życiu usłyszał prawdę!

Pomimo że twarz Józefa Bridot wyrażała jeszcze zadziwienie, że niekiedy szyderczy uśmiech przesuwał się po jego ustach, znać było że te gorące i szlachetne słowa sprawiły na nim silne wrażenie. Przysisnął chustkę do pokrytego potem czoła i rzekł zmieszany:

— Panie Vauquelin... te słowa tak dziwne... tak dla mnie nowe... choroba odbierająca mi siły...

— Przepraszam, zawołał adwokat, za te moje mimowolne uniesienie, ale poniekąd sam zmusiłeś mnie do tego, panie Bridot; wymagałeś abym mówił, a mam zwyczaj objawiać szczerze moje zdanie. Zresztą zdaje się że moje słowa nie przebrzmiały całkiem bezużytecznie... Jeszcze się tam coś odzywa w twem sercu, panie Bridot; najlepszym tego dowodem jest twoje wzruszenie... Ale zkądże ten szał zbierania, nagromadzania pieniędzy? Wiedzą że nie

masz zamiłowania do zbytków i przepychu... może nawet nie jesteś skąpcem w całem znaczeniu tego wyrazu; zkądże więc pochodzi ta chciwość? czemu...

Świeży i dźwięczny głos odezwał się w tej chwili za drzwiami i nie dozwolił mu dokończyć.

Oczy chorego błysnęły ogniem. Drzwi się otworzyły, do pokoju wbiegło młodziutkie dziewczę i zarzuciło mu ręce na szyję.

— Chciałeś pan poznać powody mego postępowania, odezwał się Bridot przyciskając ją namiętnie do serca, a więc powiem że czynię to dla niej, dla mojej Teresy, dla mojej ukochanej córki.

Panna Bridot mogła mieć czternaście do piętnastu lat. Była wysoka, szczupła, czyli raczej chuda, co ją nawet szpeciło. Miała cerę Włoszki, prawie dziecięcą jeszcze twarzyczkę, gęste i długie ciemne włosy, olśniewające białe i drobne ząbki i przepyszne czarne oczy... oczy tak wielkie że zdawały się niewłaściwe przy tak szczupłej twarzy.

Ojciec jakby orzeźwiony jej widokiem; wstał i rzekł cicho przysunąwszy się do adwokata.

— Tak, ja dla niej zbierałem i zbieram pieniądze!... chce ich mieć dużo, bardzo dużo, jakim bądź sposobem!... ażeby po mojej śmierci była równie bogatą jak jest piękną! Jakto! zdaje się że pan tego nie pojmuje... A! więc nie masz zapewnie dzieci panie Vauquelin!

— Rzeczywiście, odpowiedział adwokat także zniżonym głosem, dotąd Bóg nie dał mi tego szczęścia, ale gdybym kiedyś został ojcem, starałbym się przedewszystkiem pozostawić mojemu dziecku — i to dla jego szczęścia — nazwisko szanowane, wolne od najlżejszej zmazy.

— Dla jego szczęścia! zawołał Bridot przerażony; ale jakże dojść do tego?... co uczynić?... Nie wiem... nie widzę sposobu...

— Trzeba zwrócić pieniądze źle nabyte tym...

— Oho! łatwo to panu powiedzieć, zwrócić pieniądze! Pozbawić majątku, doprowadzić do nędzy moją Teresę, moją ukochaną córkę! tego nie mogę uczynić. Widzę panie Vauquelin, że nie zdołamy porozumieć się z sobą.

Bridot podniósł głos pomimowolnie, Teresa zwróciła ku niemu z żywością głowę usłyszawszy wymienione przez niego nazwisko, i zaczęła przysłuchiwać się ciekawie.

— Bardzo mi to przykro, odpowiedział adwokat, nietylko przez wzgląd na pana, ale nadewszystko przez wzgląd na córkę pana.

— Przez litość, panie Vauquelin, nie bądź tak bardzo wymagającym! zawołał Bridot.

Teresa przysunęła się do nich.

— Pan Vauquelin adwokat?

— Tak, pani.

— Ożeniony z Henryetą Duvernay?

— Pani zna moją żonę?

— Czy znam Henryetę? moją drogą, kochaną Henryetę! To o niej właśnie mówiłam z tobą tak często, mój ojcze... Ona miała siedemnaście lat, ja zaledwie ośm; ja liczyłam się do małych, jak mówią na pensyi, ona zaś do starszych. Otóż każdą z małych oddają pod wyłączną opiekę jednej ze starszych; moją opiekunką, moją mateczką, była Henryeta!... I nie było to dla nas tylko zabawką jak dla wielu innych... ja nie miałam już matki, a Henryeta rozumiała jakiem to było dla mnie nieszczęściem, i kochała mnie jak gdybym rzeczywiście była jej córką! Jej to jedynie zawdzięczam jeżeli pozbyłam się pewnych wad, jeżeli posiadam jakieś przymioty. Nieszczęściem, pan mi ją zabrał zanim mogła dokończyć swego dzieła. O! jakiż ja wtenczas miałam żal do pana! W dniu waszego ślubu zdawało mi się że po raz drugi straciłam matkę... Niech jej pan powie że nie zapomniałam o niej, że ją zawsze kocham i tęsknię za nią jakby za moim aniołem stróżem!

Trudno wyrazić ile było serca, uczucia, zapału i szczerości w tem jej mimowolnem uniesieniu, dla tego też skoro przestała mówić, Paweł Vauquelin był równie jak ona wzruszonym.

Spostrzegł to Bridot, i korzystając z tak szczęśliwego zbiegu okoliczności, wziął z biórka położone tam przez adwokata papiery, i rzekł padając mu je napowrót:

— Błagam pana... uczyń to dla niej... wejdź do tego gabinetu... przejrzyj to... udziel mi dobrej rady...

Vauquelin wahał się niezdolny przemódz wstrętu do podobnych interesów.

— Panie, odezwała się Teresa, nie wiem o co ojciec mój pana prosi; ale nie odmawiaj mu, zaklinam pana w imie Henryety.

Adwokat wziął akta, a Teresa ucieszona odniesionem zwycięztwem, otworzyła drzwi wskazane przez ojca, mówiąc:

— Zaprowadzę pana do gabinetu, tam nikt panu nie będzie przeszkadzać.

Vauquelin idąc za nią zwrócił się jeszcze do jej ojca.

— Czynię to jedynie dla niej, panie Bridot... Wypowiem panu szczerze moje zdanie, udzielę rady... choć jestem pewnym że jej nie usłuchasz. W każdym razie spełnię przynajmniej mój obowiązek.

Wyszedł, a Bridot zaczął chodzić po pokoju niespokojny, zamyślony. Zapomniał o chorobie; myślał tylko o córce, a surowe słowa adwokata brzmiały mu ciągle w uszach.

— Jeżeli on ma słuszność? jeżeli majątek nie połączony z szacunkiem ludzi zacnych, jest niczem? gdyby Teresa po mojej śmierci.. O! czas nagli, czuję to... Muszę zapytać jej samej... domyślić się z jej odpowiedzi jakie będą później jej uczucia i przekonania. Ale gdzież ona jest?... Tereso...

Otworzyła właśnie drzwi gdy na nią wołał. Przybiegła do niego, uściskała i odprowadziła do fotela, i wtenczas dopiero spostrzegła że twarz jego była bardzo zmieniona.

— Co ci jest, ojcze! jesteś tak blady... ręka twoja drży tak silnie! Po co to było schodzić do tej nieznośnej kancelaryi?... Wiesz dobrze, ojcze, że doktor nie pozwala ci pracować, że mnie samej przyrzekłeś uroczyście... O! niedobry ojciec, co nie chce nigdy być posłusznym swej córeczce!

Łając go tak pieszczotliwie, zmusiła aby usiadł. Posadził ją na swych kolanach, i rzekł rozweselony, z wyrazem dumy rodzicielskiej:

— Nie łaj mnie już moje drogie dziecię... Czy ja mogę myśléć o chorobie, czy ja mogę cierpiéć gdy patrzę na ciebie, skoro ty mnie kochasz i jesteś szczęśliwą?... bo wszakże jesteś szczęśliwą... bardzo szczęśliwą, córeczko?

Rozpoczął tym sposobem badanie, i odsunąwszy trochę od siebie Teresę aby ją mógł lepiej widzieć, patrząc jej prosto w oczy, oczekiwał niespokojnie odpowiedzi.

— Czy jestem szczęśliwą!... będąc przy tobie, na twoich kolanach; jakże, ojcze, możesz się pytać o to?

— Tak, dopóki jeszcze jestem przy tobie... ale skoro mnie już nie będzie...

— Co mówisz, ojcze?

— Chciałem powiedzieć, skoro mnie nie ma... naprzykład na pensyi? Pensya to jest świat w miniaturze. Jakze ci tam jest?

— Dobrze, bardzo dobrze... tylko...

— Tylko?

— Niektóre z moich koleżanek, zwłaszcza utytułowane, to jest tak zwane wielkie panie...

— Cóż dalej?

— Trzymają się zdala odemnie, spoglądają na mnie pogardliwie; nazywają mnie zawsze *panną Bridot*, a w ironicznym uśmiechu z którym wymawiają moje nazwisko, jest coś znieważającego, coś takiego co mnie upokarza i zasmuca zarazem.

— Czy tak! poniżają cię?... To dla tego że nosisz nazwisko mieszczańskie, a jesteś bogatszą od tych wszystkich baronównów i hrabianek. Ale córeczko, zmienisz kiedyś to nazwisko na jakieś inne, które będzie milej brzmiało w twoich uszach... bo będziesz bardzo bogatą, Tereso... a wszystko jest możliwem dla tego kto jest bardzo bogatym. Bądź spokojną, nie będą cię nazywać zawsze panną Bridot... ale panią baronową, panią margrabiną... Powiedz, córeczko, czybyś chciała być margrabiną?

Wielkie czarne oczy Teresy powiększyły się jeszcze i błysnęły radośnie.

— Jakto, mój ojcze! więc ja mogę być margrabiną?

— Nic łatwiejszego!

— I na drzwiczkach mego powozu będą piękne herby?

— Twego powozu! więc chciałabyś mieć powóz moja pieszczotko?

— O! to musi być tak miło siedzieć w powozie unoszonym przez ogniste konie, kiedy wonne wiosenne powietrze owiewa twarz, i pędzić jak strzała, budząc podziw przechodniów.

Teresa upajała się sama mówiąc o zbytkach, do których pociąg budził się w niej po raz pierwszy; klaskała z radości w ręce, a Bridot ucieszony że tak dobrze odgadł usposobienie córki, zawołał:

— Wybornie, wybornie, Tereso!... A następnie w tym pięknym powozie, ciągnionym przez ogniste rumaki — no! znów niezbyt ogniste, bo to groziłoby niebezpieczeństwem — pojechać do lasku Bulońskiego, i tam spotykać owe księżniczki z pensyi, zdumione tem że panna Bridot je zaćmiewa.

— Ze spaceru jechać co wieczór na bal, mówiła dalej Teresa.

— Na koncert, dodał ojciec ucieszony objawianem przez nią upodobaniem, tak zgodnem z jego dla niej marzeniami.

— Do Opery włoskiej! zawołała znów dziewczynka lubiąca bardzo muzykę.

— Do Ambigu! dodał już z mniejszym zapałem skąpiec, który już zaczął obliczać z przestrachem, że to wszystko pociągnęłoby za sobą bardzo wielkie wydatki.

Teresa tymczasem mówiła dalej, tylko już odmiennym tonem, i z pewnem rozrzewnieniem:

— A poranki ojcze... poranki przepędzać na pełnieniu dobrych uczynków; zwiedzać ubogie mieszkania na poddaszach, gdzie się zostawia nieznacznie woreczek napełniony złotem, ale skąd się w zamian wynosi stokroć więcej!

— Cóż takiego? zapytał Bridot niezdolny jej zrozumiéć.

— Błogosławieństwa! odpowiedziała z zapałem.

Bridot zaczął kaszlać.

— Błogos... tak, tak, zapewnie... Ale zaraz cały woreczek złota!... Hola! hola córeczko, jesteś zbyt szczodrobliwą!

— A! zawołała, bo też to tak miło czynić dobrze, wspomagać biednych... to największe szczęście jakie może zapewnić bogactwo...

— Czy nie słusznie mówiłem, rzekł głośno do siebie Bridot, że ona nie będzie nigdy dosyć bogatą!

— Tak, tak, nigdy dosyć... Czuję że będę lubić przepych, zbytki, stroje, kosztowne tkaniny przychodzące do nas z krainy słonecznej!

— Kaszmiry, wyraził się prozaicznie Bridot.

— Jedwabne materye! Jedwab' tak pięknie szeleści za każdem poruszeniem, i musi tworzyć miły akompaniament do muzyki balowej.

Bridot zaczął posuwać palcem po jej czarnej materyalnej sukni, i zawołał prawie równie ucieszony jak ona.

— Prawda, to wydaje także swój właściwy dźwięk, tak samo jak pieniądze!

— Także koronki, kwiaty, dyamenty i drogie kamienie.

— Dyamenty! więc lubisz je Tereso?

— Czy je lubię! to tak iskrzy się, błyszczy... O! na samą myśl o nich czuję zawrot głowy.

— A więc weź ten klucz... otwórz szufladę... nie tę, niższą... otwórz prędko i zobacz co się tam znajduje.

Zbliżyła się do biórka i otworzywszy wskazaną jej szufladę, spostrzegła w niej czerwone safianowe pudełko i zachęcona przez ojca przycisnęła zamykającą go sprężynkę, a następnie olśniona prawie wychodzącym z niego blaskiem, zawołała:

— A! jakież to przepyszne dyamenty!

— Tak, przepyszne! powtórzył z dumą Bridot, ale wyjmij je z pudełka... włóż na szyję, w uszy; niech cię w nich zobaczę... Tak, dobrze; możnaby powiedzieć że to gromady drobnych gwiazdek uwijają się koło twojej twarzyczki.

Poruszał palcami kolczyki wiszące w jej uszach, i zaczął coś nucić ucieszony ich blaskiem i pięknością córki. Żywy rumieniec wystąpił teraz na twarz Teresy, a oczy jej błyszczały równie silnie jak dyjamenty. Była równie jak one olśniewająco piękną.

Bridot patrząc na nią zapomniał o swej zwykłej ostrożności. Otworzył prędko klapę osłaniającą ukrytą szufladę, i nagle ukazały się stosy złota i biletów bankowych.

— Patrz! patrz! dotknij rękami! jest tu za co kupić więcej jeszcze drogich kamieni i koronek, skoro je lubisz!... i aksamitu... i atłasu... i wiele, wiele jeszcze rzeczy!... Czy jesteś zadowolona?

— Jestem zachwycona, drogi ojcze! odpowiedziała przesypując rękami złoto; jestem oczarowana, bo to zapewnia przewagę, szczęście, błogie życie!

— A! co też ten Vauquelin bredził! pomyślał Bridot. Będzie bogatą, będzie szczęśliwą! Bogactwo jest szczęściem!

. . . .

Nagle doszedł do niego z sieni głos równie groźny jak te które słyszał rano.

— Ho! ho! znowu coś nowego! zawołał przysłuchując się niespokojnie, a jednocześnie zgarniał złoto drżącemi rękami.

Nie dokończył jeszcze kiedy Maryanna otworzyła drzwi.

— Hrabia de Bussiers przyszedł, i...

— Znów! wszakże ci zaleciłem...

— Chce koniecznie widzieć się z panem... powiada że nie odejdzie... a prócz tego zdaje się bardzo nieszczęśliwy!

— Nieszczęśliwym? powtórzyła Teresa. O! pozwól mu wejść, ojczulku; proszę cię!

— Niech i tak będzie, odpowiedział; ale odejdź ztąd, idź do twego przyjaciela, pana Vauquelin, a gdyby już skończył i chciał tu wrócić, zatrzymaj go dopóki cię nie zawołam.

— A! jakże jesteś dobrym, mój ojcze; jakież to szczęście dla mnie że jestem twą córką.

— Radość i duma błyszczy w jej oczach, rzekł Bridot gdy już sam pozostał, a dla czego? Bo wie że jest bogatą. I miałbym przez wzgląd na innych pozbawić ją majątku! okradać moje własne dziecię! Nie, nic nie oddam... nic!

Hrabia de Bussiers wszedł do pokoju.

Był to mężczyzna może pięćdziesięcioletni, z czarną jeszcze brodą, ale z siwemi już włosami. Było coś prawdziwie uroczystego tak w całej jego postawie, jak w pełnych godności i szlachetnych ruchach, wyrażających jakieś niezłomne postanowienie.

— Panie Bridot, rzekł z zimną grzecznością, dwa lata temu byłem o tyle nierozsądnym i nieszczęśliwym że powierzyłem ci cały mój majątek... w sześć miesięcy później straciłem wszystko.

— Panie hrabio, zaczął mówić Bridot, zechciej mi wierzyć że ja także...

— Porzuć wykręty i kłamstwa, odezwał się hrabia z dumnym spokojem. Nazajutrz potem gdy my utraciliśmy całe nasze mienie. pan, nasz wspólnik, byłeś bez porównania bogatszym niżeli przedtem. Dobra i zamek od których pochodzi moje nazwisko, z mych rąk przeszły w twoje. Tak, wiem już że zamek de Bussières jest obecnie twoją własnością. Nie chcę dochodzić jakim się to stało sposobem... nie chcę uciekać się do sądów, rzucać oskarżeń, wywoływać skandalu. Nie grożę ale błagam... Tak, ja, hrabia de Bussières, błagam pana Bridot, aby mi dopomógł do wydźwignięcia mej rodziny z nędzy w której ją pogrążyła moja rozrzutność, moje niedbalstwo i bezrozumne w tobie zaufanie. Mogę mieć korzystne zajęcie w Ameryce... praca nie poniża, przeciwnie, uszlachetnia, przywraca dobre imie; ale chcąc aby mi przyniosła materyalne zyski, potrzebuję posiadać nie wielki kapitał. Panie Bridot, czy na moje słowo zechcesz mi zwrócić... pożyczyć pięćdziesiąt tysięcy franków?

Stary skąpiec podskoczył na fotelu usłyszawszy jakiej żądają od niego summy, pomimo że z początku zdawał się wzruszony tą boleścią powstrzymywana tak szlachetnie, tą prożbą wyrażoną z taką pokorą i godnością zarazem, a w której czuć było łzy tłumione wysiłkiem woli.

Przyszły mu na pamięć słowa Pawła Vauquelin, i spojrzał na drzwi prowadzące do gabinetu w którym znajdował się obecnie zacny adwokat, ale była tam i Teresa.. To przypomniało mu całą z nią rozmowę, oraz nieodwołalne postanowienie jakie powziął następnie.

— „Nie! nie! pomyślał, zachowam wszystko dla mojej córki".

— Czekam na odpowiedź, odezwał się hrabia z gorączkową niecierpliwością.

— Bardzo mi boleśnie, panie hrabio, ale... muszę odmówić.

— Czy to ostatnie pana słowo?

— Tak, niestety!

Hrabia przygryzł usta i rzekł podnosząc dumnie głowę:

— Strzeż się, panie Bridot; powiedziałem ci, że przywiodłem do nędzy żonę i syna... muszę im dać zadosyćuczynienie. Będzie niem dobrowolne wygnanie, albo śmierć.

Bridot nie wierzył w podobne pogróżki, dla tego też nie przeraził się wcale i tylko wzruszył ramionami.

Hrabia wyjął z kieszeni rewolwer.

— Panie! panie! zawołał drżący ze strachu Bridot.

— Uspokój się, panie Bridot, powiedział hrabia z pogardliwym uśmiechem. Nie myśle zostać mordercą dla tego że ty jesteś złodziejem. Ta broń nie tobie, ale mnie odbierze życie. Jeśli krew moja popłynie w tym domu, jeśli obryzga tę skrzynię napełnioną źle nabytemi pieniędzmi, sam sobie będziesz musiał przypisać winę. Niechaj spadnie na ciebie i na twoich spadkobierców!

Po chwili dodał wskazując na zegar.

— Za kilka sekund wybije czwarta, wraz z ostatniem uderzeniem odbiorę sobie życie.

Bridot powstał, jakby chciał mu przeszkodzić, ale hrabia powstrzymał go rozkazującym ruchem ręki. Potem przeżegnał się i zdawał się modlić w myśli.

Bridot z początku prawie osłupiały, chciał biedz, wzywać ratunku...

Zegar uderzył po raz pierwszy.

Zwrócił się z żywością ku hrabiemu który patrzył na niego z pogardliwym uśmiechem, a gdy zegar uderzył powtórnie, odezwał się spokojnym głosem:

— Dwa!

Wylękły skąpiec już miał zawołać że spełni jego żądanie... Ale pięćdziesiąt tysięcy franków!

Trzecie uderzenie zegaru.

Pan de Bussieres wymówił dwa imiona: Raymond! Ludwika!... zapewne imiona żony i syna. Następnie przyłożył rewolwer do skroni.

Bridot przestraszony zawołał:

— Gdyby tak dziesięć tysięcy...

Zegar uderzył po raz czwarty, a jednocześnie rozległ się wystrzał.

Hrabia de Bussieres dotrzymał słowa; runął martwy na ziemię, a krew jego obryzgała skrzynię z pieniędzmi i starego skąpca.

. . . .

Bridot zdrętwiał; głos zamarł mu w piersiach. Cofnął się machinalnie, z otwartemi ustami, z błędnemi oczyma, wstrząsany konwulsyjnym dreszczem, aż nareszcie upadł na fotel prawie skamieniały z przerażenia.

W jednych drzwiach ukazała się Maryanna, w drugich Teresa.

— Moja córko! zawołał rozpaczliwie Bridot, nie zbliżaj się, zabraniam ci! Nie patrz!.... nie patrz!....

Skinął na Maryannę, i gdy ta co prędzej rzuciła kołdrę na zwłoki hrabiego. zasłaniał je sobą popychając Teresę w przeciwny róg pokoju, mówiąc chrapliwym, przerywanym głosem:

— Krew!... krew aż tutaj... tam... krew wszędzie. Wytrzyjcie ją.. wytrzyjcie prędko!... A! doktór miał słuszność... ten straszny wypadek... wstrząśnienie... Ta jedna kula zabija nas obu! Ah! czuję że umieram!

Po chwili dodał zbierając opuszczające go siły:

— Nie! nie jeszcze!... Moja córka! moje dziecię... nic jeszcze nie gotowe.. nie mogę... nie chcę umrzéć. Jej majątek!... Komuż go powierzę?... Komu?...

Spostrzegł Pawła Vauquelin, który wszedł tam już od kilku minut, i stał blizko niego, uchwycił go za rękę kościstemi palcami, przyciągnął do siebie i zaczął mówić cicho, do ucha:

— Panie Vauquelin.. przysuń się... bliżej.. jeszcze bliżej... Panie Vauquelin, pogardzasz mną!... powiedziałeś mi to w oczy... jesteś uczciwym człowiekiem... powierzam ci opiekę nad moją córką.

— Ależ panie...

— A! nie odmawiaj mi... wszak widzisz że umieram!

(D. c. n.)



N. 1. Żakieta dla chłopca lat 8-10. Krój N. X Fig. 37—42. Majtki na ryc. 2.

Opis do N-ru 15.

Dokończenie.

N. 26—27. Chusteczka na szyję.

Odpowiednia do zapięcia na szlafroczku rannym liczy 48 c. długości, a 10 szerokości, odrobiona jest na drutach z bawełny na kłębkach Nr. 50 i zakończona ząbkami szydełkowemi. Robotę zacząć od dolnego brzegu na 4 oczka a robiąc tam i napowrót przybierać z każdéj strony. Ryc. 27 wskazuje część tła i ząbków szydełkowych z o. pow:

N. 28—29. Kołnierzyk z krawatką do ubrania rannego.

Odrobiony jest z cienkiego białego batystu i ozdobiony brzeżkiem wywodzonym na tiulu; falbaneczka stojąca liczy $3\frac{1}{2}$ cent. szerokości, krawatka zaś jest 120 cent. długa a 10 szeroka. Rycina 29 wskazuje wywodzenie bawełną białą i niebieską w dwóch cieniach.

N. 30 Żabot z muślinu indyjskiego i koronki.

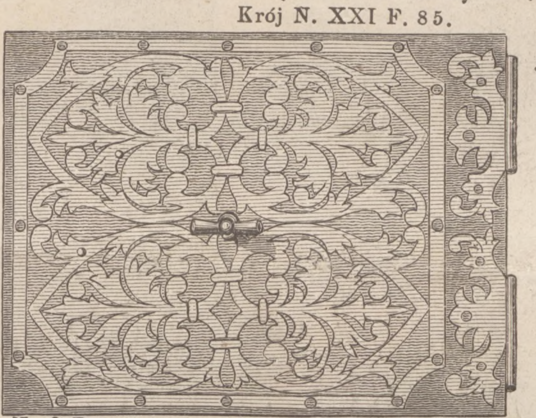
Jest koloru żółtawego, złożony głównie z koronki 8 cent. szerokiej przyszytej do kawałka muślinu 20 cent długiego a 17 szerokiego i zfałdowanej podług ryc. 30, z jednej zaś strony wysuwa się pukiel z muślinu indyjskiego.



N. 3. Kołnierz marynarski i mankiety na rękaw. Krój N. XXI F. 85.



N. 4. Chusteczka do nosa. Deseń na Fig. 50.



N. 6 Drzwiczki do pieca. Deseń wypalony serwaserem na mosiądzu, deseń fig. 104.

N. 31. Żabot z gazy i koronki.

Skos białej jedwabnej gazy 19 cent. szeroki, stanowi pukle po 10 c. długie upięte z jednej strony, z których dolny z brzegu ogarnirowany koronką, drugą zaś połowę żabotu stanowi koronka ufałdowana wachlarzowo, podpięta trzecim puklem.



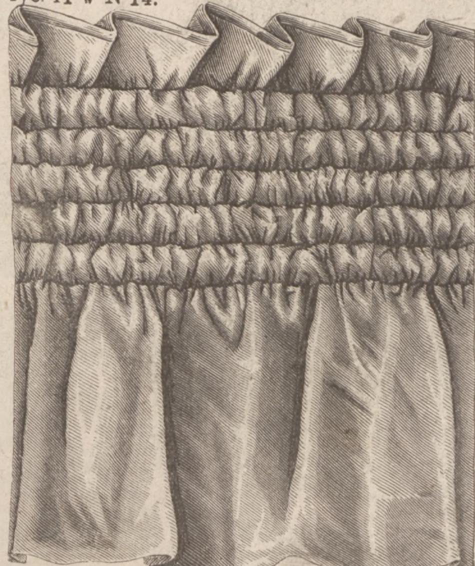
N. 9. Kopelusz wiosenny z barbką koronkową.



N 7. Poduszka do kanapy, haft krzyżowy Zobaczyć szlak na ryc. 11 w N 14.



N. 10 Bufki przemarszczane z falbaną ułożoną w plisowane fałdy.



N. 11. Bufki przemarszczane z falbaną marszczoną, do ryc. 2, 3 i 8 w N. 14.

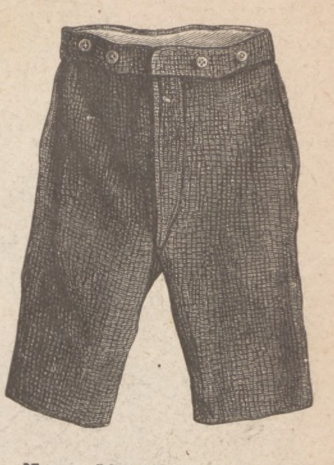
N, 10—11. Dwa ganirrunki do sukien i mantyl.

N. 32 Kaftanik nocny z pełwciętemi plecami. Krój na arkuszu Nr. XVII, Fig. 62—67.

Niciana warsztacikowa koronka 5 centy. szeroka stanowi przybranie kaftanika z barchanu pikowego; krój prosty i odrobienie nie wymagają opisu.

N. 35—36. Majtki z szerokim pasem. Krój na arkuszu Nr. XVI, Fig. 60—61. Deseń fig. 102—103.

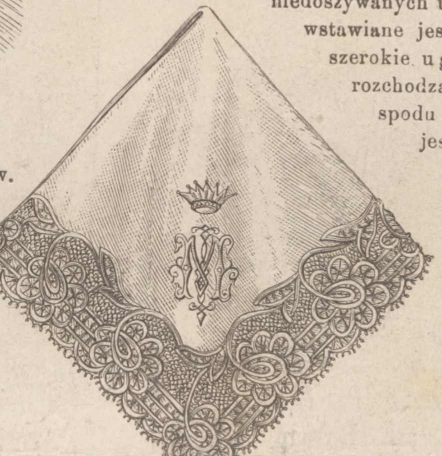
Rycina 35 przedstawia majtki przymarszczane w górze i u dołu a ryc. 36 majtki węższe gładkie. Przybranie stanowią zakładki i haft podług fig. 102—103.



N. 2. Majtki dla chłopczyka lat 8—10. Krój N. X Fig. 36. Żakieta na ryc. 1.

N. 37. Spódnica z wszywanem plisowaniem.

Spodnica z białego szyrtyngu, wszyta w pasek 20 c. szeroki, składa się z ośmiu wązkich brytów. Skośnie ścięty przód liczy 70 cent. długości a 36 szerokości u dołu; bryt tylny jest 74 cent. długi a 28 szeroki zaś sześć klinów są po 11 cent. szerokie. Na szwach niedoszywanych u dołu na 30 cent. wstawiane jest plisowanie 25 c. szerokie u góry ściśle złożone, rozchodzące się u dołu. Od spodu spódnicy podszyta jest falbana plisowana 250 cent. obwodu licząca, 36 cent. szeroka zakończona koronką 6 c. szeroką.



N. 5. Chusteczka do nosa. Deseń na Fig. 51.

N. 38—39. Spódnica z trenem przypinanym. Krój na arkuszu Nr. XII, Fig. 47—48.

Bryty cienkiej perkalowej spódnicy zszywają się podług maleńkiego formatu kroju na którym również oznaczona jest liniją listewka do ściągania; pasek ukrajać można podług fig: 61. Garnirunek stanowi falbana 28 c. szeroka ostębnowana listewką 3 c. szeroką. Zasługuje na uwagę tren przypinany, którego zmniejszoną formę przedstawia fig. 48; linija prosta oznacza bieg nitek tła, zaś linije kropkowane wskazują naszycie koronek i falban.



N. 8. Kapelusz wiosenny ze słomki ażurowej.



N. 12. Czepeczek z gazy tureckiej. Krój N. XXIV Fig. 91. Tył czepeczka na ryc. 13.

N. 16. Koszula nocna z gładkim gorsem. Krój i opis na dodatku z formami N. XV F. 56-59.

N. 21. Koszula dzienna z dużym wykrojem zobaczyć próbkę oszycia wykroju na ryc. 53. Krój i opis na arkuszu Fig. 53—55.

N. 23 i 24. Dwie dzienne koszule zapinane na ramionach. Krój i opis na arkuszu N. XIII Fig. 52.

N. 22. Koszula dzienna z wykrojem w karo. Zobaczyć garnirunek w naturalnej wielkości na ryc. 52. Krój i opis na dodatku N. II Fig. 3—5.

17. Koszula nocna z suto garnirowanym gorsem. Próbka kratek w naturalnej wielkości na ryc. 18.

N. 14. Czepeczek negliżowy z surah. Zobaczyć tył czepeczka na ryc. 15.

N. 27. Próbka tła na drutach i szlaczku szydełkowego do r. 26.

N. 26. Chusteczka negliżowa. Robota na drutach i szydełkowa, próbka na ryc. 27.

N. 28 Fryzka i krawatka batystowa do ubrania rannego. Zobaczyć próbkę wywodzenia na ryc. 29.

N. 29. Wywodzenie na tiulu do ryc. 28.

N. 32. Kaftanik nocny z luźno wciętemi plecami. Krój N. XVII Fig. 62-67.

N. 34. Majtki ozdobione na kolanach. Krój i opis N. V Fig. 15-16.

N. 37. Spódnica z wszywanem w przecięcia dolne plisowaniem.

N. 30. Kokarda krawatkowa, z muślinu indyjskiego i koronki.

N. 25. Koszula dzienna u dołu ozdobiona garnirunkiem. Krój i opis N. I. Fig. 1—2.

N. 31. Kokarda do kołnierzyka z gazy i koronki.

N. 38. Spódnica z przypinanym trenem. Krój N. XII Fig. 47. Tren oddzielnie na ryc. 39.

N. 40. Spódniczka z kolorowego surah.

N. 33. Kaftanik nocny z plecami niewcinanemi. Krój i opis N. IV Fig. 17—19.

15. Czepeczek z surah. Przód na ryc. 14.

N. 13. Czepeczek ranny z gazy tureckiej. Przód i krój podług, ryc. 12.

N. 42. Czepek nocny robiony na drutach.

N. 41. Worek na brudy, ozdobiony haftem krzyżykowym.

N. 43. Czepek nocny płócienny. Krój i opis N. IV Fig. 13—14.

N. 39. Tren do spódnicy. Krój N. XII Fig. 48.

N. 18. Kratka ażurowa do koszuli nocnej ryc. 17.

N. 35, Majtki z okrągłym paskiem. Krój N. XVI Fig. 60—61. Deseń na Fig. 102.

N. 36. Majtki z haftowanym obrębem. Deseń na Fig. 103

N. 46. Ubranie ranne z wykładanym kołnierzem i mankietami. Krój N. VIII Fig. 30—33.

N. 44. Gorset z włosiennego materyału.

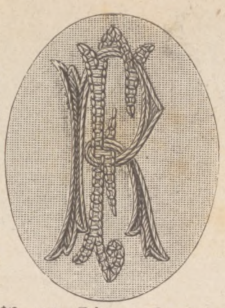
N. 19--20. Koszula nocna ozdobiona bufkami. Krój i opis N. III Fig. 6-12.

N. 45. Gorset dla młodych mężatek i dla dam bardzo tłustych.

N. 47. Kołnierz marynarski upięty z chusteczki.

N. 40. Spódniczka (halka) z kolorowej materji surah.

Model był z miękiej niebieskiej surah, którą dla ciepła trzeba poddać flanelką; jeżeli chodzi o oszczędność to całą spódniczkę można uszyć z flanelki. Koronka stanowiąca przybranie przy materyi naszyta na falbanie 10 cent. szerokiej, nad którą dany skos zaszyty w drobne zakładki.



N. 48. Litery do znaczenia bielizny. Haft biały.

N. 44 — 45. Dwa gorsety.

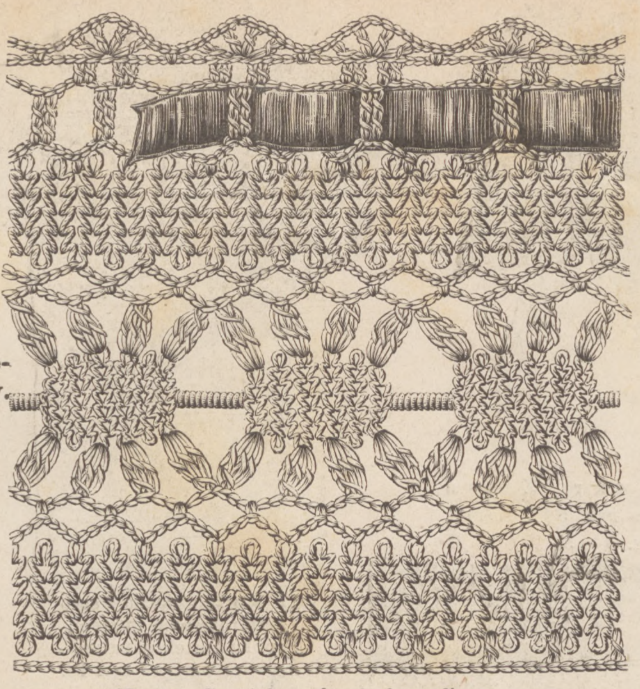
Obydwa modele są niemożliwe do uszycia w domu, nie dajemy więc szczegółowych opisów, tylko ryciny; jeden odrobiony z materjału włosiennego bez kliników, drugi odpowiedni dla młodych mężatek lub starszych pań dobrej tuszy ma z przodu wszyty szeroki pas elastyki i zapina się bez bryk na guziki.



N. 50. Pas flanelowy, krój N. IX Fig. 34—35.

N. 46. Ubranie ranne. Krój kołnierza i mankietów na arkuszu Nr. VIII, fig. 30—31.

Skromny szlafroczek formą princesse, przewiązany sznurem; szeroki wykładany kołnierz dopełniony krawatką z muślinu indyjskiego 100 cent. długą, 26 szeroką ogarnirowaną koronką 7 cent. szeroką.



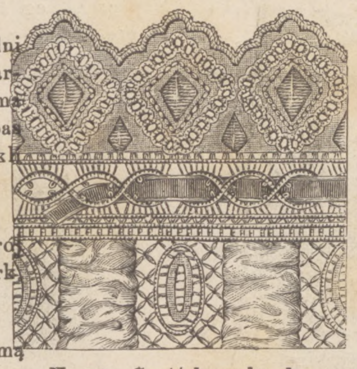
N. 54. Część karczka do koszuli patrz ryc. 55.



N. 49 Litery do znaczenia bielizny haft biały.



N. 51. Pas flanelowy przód na ryc. 50.



N. 52. Część karczka do koszuli ryc. 22.



N. 56. Koronka szydełkowa z mignardisą medalionową.



N. 53. Próbka układu karczka do koszuli ryc. 21.



N, 55. Karczek do koszuli, robota szydełkowa z torsadką i mignardisą medalionową. Zob. r. 54,



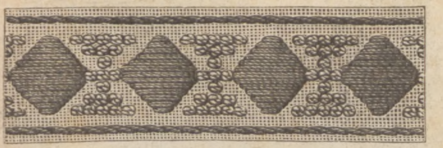
N. 57. Znak do bielizny stołowej. Haft biały i kolorowy.



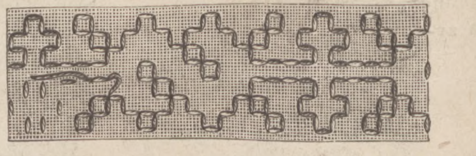
N. 59. Litera do haftu na chustkach i t. p.



N. 56. Litery do znaczenia bielizny do łóżek lub stołowej.



N. 60. Szlaczek. Haft płaski i supełkowy.



N. 61. Szlaczek wyszyty ściegiem jednakowym na dwie strony.

N. 47. Kołnierz marynarski z chusteczki. Krój jak do ryc. 3.

Kolorową chusteczkę od nosa zużytkować można na kołnierz marynarski ułożony na podstawie tiulowej. Ogarnirowanie wskazuje ryc. 47. Negliżyk powinien być z drugiej takiej samej chusteczki.

N. 50—51. Pas flanelowy. Krój na arkuszu. Nr. IX, Fig: 34—35.

Uszycie pasa odpowiedniego dla osób słabych nie wymaga żadnego opisu; szwy rozkłada się płasko z lewej strony i podwrębia; brzegi objęte listewką perkalową. Kładąc na siebie trzeba podług ryc. 50 skrzyżować długie końce z tyłu w środku i spodni wsunąć przez rozporek oznaczony gwiazdką i dwukropkiem na figurze 35.

N. 54 — 55. Karczek do koszuli.

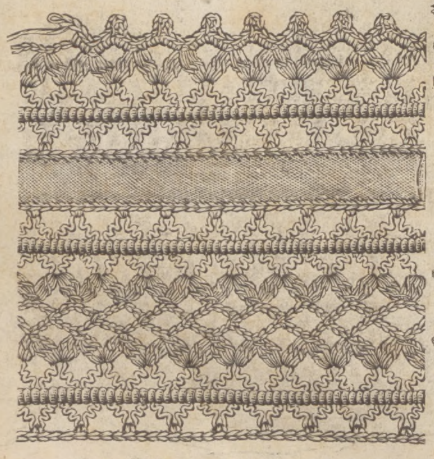
Rycina 54 wskazuje w naturalnej wielkości część karczka odrobionego z taśmy gładkiej medaljonowej spajanej szydełkiem; rycina jest tak wyraźną iż łatwo policzyć oczka i sł:. Połączenie rękawków z karczkiem wskazuje ryc. 55. Górny obwód taśmy ażurowej liczy 100, dolny 110 cent., szerokość rękawka 86 cent. wynosi.



N. 62. Koroneczka szydełkowa z ząbkami z plecionki.



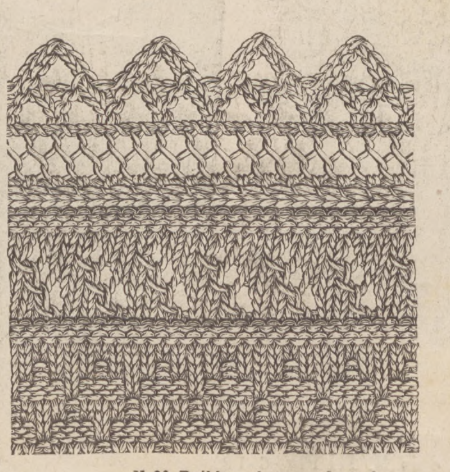
N. 63. Koroneczka szydełkowa z mignardisse.



N. 64. Szlak ze wstawek i koronki szydełkowej z mignardisą. Wstawkę robi się w dwóch częściach, spajanych ze sobą w środku.



N. 65. Wstawka. Robota szydełkowa z mignardisą medalionową w grupie dzieloną. Wstawkę robi się w dwóch częściach, spojonych następnie środkowemi figurami i zeszytych za pikoty z mignardisse.



N. 66. Próbka roboty na drutach do czepeczka nocnego, ryc. 42.



Tygodnik Mód

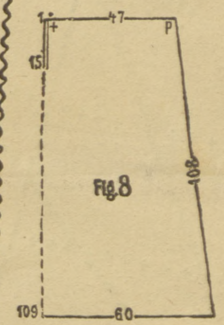
w Warszawie 1881 r.

Dodatek z krojami i deseniami do Nr. 14 i 15.

Nr. I. Koszula dzienna z przybraniem u dołu. Ryc. 25 w Nrze 15.
Fig. 1. Połowa przedniej i tylnej części stanu (A, B, C, D) ×·×·×·
Fig. 2. Połowa przodu i pleców karczka (B, C, D) o—o—o—
Elegancki model z batystowego płótna, ma u dołu falbanę 5 cent. szeroką, oszytą koronką; powyżej dana wszywka 4½ cent. szeroka, otoczona z brzegów wązkiemi zakładkami. Wszywka i koronka użyta do dołu, powinna być odpowiednią tej, jaka jest wzięta na karczek. W około pachy i u góry karczka dana wstaweczka do nawleczenia wstążeczki.

Nr. II. Koszula dzienna z kwadratowym wykrojem. Ryc. 22 i 52 w Nrze 15.
Fig. 3. Połowa przedniej i tylnej części stanu (E, F, G, H, I, K) ↔ ↔
Fig. 4. Połowa karczka (F, H, I, K, L, M, N)
Fig. 5. Połowa szmizetki (L, M, N)
Wykrój szyi otaczają najpierw dwie koronkowe wszywki, dane podług formy karczka fig. 4, z których górna przewleczona jest wstążką; dalej idzie pas haftu, dany gładko i koronka marszczona 2½ cent. szeroka, z przodu zaś część szmizetkowa dodana jest oddzielnie podług kroju fig. 5; składa się ona ze wstawek i bufek batystowych, zszytych z sobą podług ryciny 52.

Nr. III. Koszula nocna zdobna bufkami. Ryc. 19—20 w Nrze 15.
Fig. 6. Górna część przedniej połowy stanu (O, P, Q, R, U, +) =o==o
Fig. 7. Górna część tylnej połowy stanu (O, P, S, T, •)
Fig. 8. Wskazanie kroju przedniej i tylnej połowy stanu (P, +, •)
Fig. 9. Połowa przodu i pleców karczka (Q, R, S, T, W) oooo
Fig. 10. Zwierzchnia połowa rękawa (✻, ⁚)
Fig. 11. Spodnia połowa rękawa (U, V, ✻, ⁚)
Fig. 12. Połowa kołnierza (W, Q) —o—o—o—o—o—o—o
Oryginalny i bardzo elegancki model koszuli batystowej ma przód i plecy do wcięcia stanu przemarszczane w bufki. Fig. 6 i 7 dają formę stanu i zarazem cienką, prostą linją mają oznaczoną szerokość bufek, przeszywanych wąziuczkim fabrycznym szlaczkiem. Po przemarszczeniu przyszywa się podług odpowiednich liter dolne połowy stanu, których długość i szerokość oznaczona jest na fig. 8. Górne brzegi stanu wszyte są w karczek, krajany z podwójnego materjału, podług fig. 9, tak aby wzdłuż brzegu tylnego nitki szły prosto. W wykrój szyi wszyty jest szeroki wykładany kołnierz, dopasowany podług fig. 12, ogarnirowany nicianą koronką 3 cent szeroką. Zasługują również na uwagę rękawy, mające wierzchy bufowane a spody gładkie: na zszyciu dany szlaczek ażurowy taki, jak przy koszuli, między bufkami; fig. 10 i 11 dają połowy zwierzchniej i spodniej części rękawów. Brzeg dolny u ręki wszyty w pasek 2 cent. szeroki, ogarnirowany 5 cent. szeroką batystową falbanką, oszytą koronką; druga wyższa falbanka przykrywa pasek. Wzdłuż zakładki przedniej dana z brzegów falbanka 3 cent. szeroka.

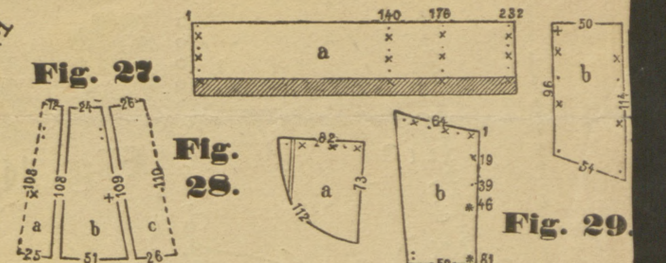


Nr. IV. Czepek nocny. Rycina 43 w Nrze 15.
Fig. 13. Połowa denka (X, Y) ∾∾∾∾
Fig. 14. Połowa paska (X, Y) ++++++++++++++++++
Denko kraje się skośnie podług fig. 13 i przymarszczone łączy się od X do Y z paskiem, dopełnionym z tyłu kawałkiem podwójnym prostym, 2 cent. szerokim a 14 długim, służącym do nawleczenia końców po 35 cent. długich a 4 szerokich, któremi można czepek przyciągnąć.

Nr. V. Majtki przybrane na kolanach. Rycina 34 w Nrze 15.
Fig. 15. Połowa majtek (a, b, c, d, ✻, ⁚, •, +)
Fig. 16. Połowa przedniego paska (⁚, •)
Majtki te odznaczają się nową formą; zapięte są z boku u dołu zaś na kolanach zaokrąglone i przemarszczone w górę, do miejsca oznaczonego krzyżykiem na fig. 15. Rozporek boczny od dwukropka do krzyżyka podszyty jest z brzegów listewką. Górny brzeg majtek, drobno zmarszczony, wszyty z tyłu w pasek 41 cent. długi 4 szeroki, przestębnowany do nawleczenia tasiemki; z przodu dany pasek okrągły podług fig. 16, zapięty na guziki.

Nr. VI. Kaftanik nocny z puszczanemi plecami. Ryc. 33 w Nrze 15.
Fig. 17. Przód (e, f, g, h, i) +++++++++++++++
Fig. 18. Połowa pleców (e, f, g, h) —✻—✻—✻—✻—✻—✻
Fig. 19. Rękaw (i, k, l, m) ⋈⋈⋈⋈⋈⋈⋈⋈⋈⋈
Wygodny kaftanik nocny kraje się z dymki, szyrtyngu lub batystu; na przodach fig. 17 linja prosta odznacza szerokość garnirunku wskazanego na ryc. 33. Składają go wąziutkie zakładki, dawane po siedem w rzędzie i falbanki haftowane 5 cent. szerokie.

Nr. VII. Suknia z przypinanym trenem. Ryc. 34—36 w Nrze 14.
Miara objętości przez połowę: 48 w gorsie, 30 w pasie.
Fig. 20. Część kamizelkowa (n, o) ××××××××××××
Fig. 21. Połowa przodu (n, o, p, q, u, v, w, +) —•—•—•
Fig. 22. Boczek (p, q, r, s, • 1 i × 1 do • 3 i × 3) ×=×=×=
Fig. 23. Połowa pleców (r, s, t, u, v, × 4 i • 4 do × 9 i • 9)
Fig. 24. Rękaw (w, x, y, z, ✻, ⁚) ••••••••••••••••••••••
Fig. 25. Mankiet (✻, ⁚) +++++++++++++++++++++
Fig. 26. Połowa kołnierza (t, +)
Fig. 27. Wskazanie kroju połowy spódnicy (*a.* połowa przodu, *b.* klin boczny, *c.* połowa tylnego bryta).
Fig. 28. Wskazanie kroju połowy draperji (*a.* przednia, *b.* tylna połowa draperji).
Fig. 29. Wskazanie kroju połowy trenu (*a.* połowa trenu, *b.* połowa upięcia).



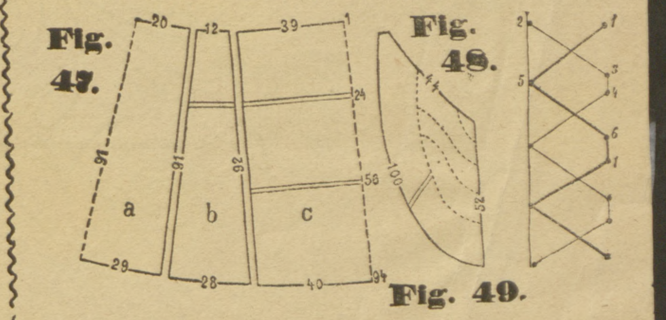
Nr. VIII. Kołnierz wykładany i mankiety do ubrania rannego; ryc. 46 w Nrze 15.
Fig. 30. Przód szmizetki do kołnierza (1, 2, 4)
Fig. 31. Połowa pleców (1, 2, 3)
Fig. 32. Połowa kołnierza (3, 4)
Fig. 33. Połowa mankieta ◡◠◡◠◡◠◡◠◡◠

Nr. IX. Pas flanelowy. Rycina 50—51 w Nrze 15.
Fig. 34. Część przednia (5, 6, ✻, ⁚)
Fig. 35. Część pasa (5, 6, ✻, ⁚)

Nr. X. Ubranie dla chłopca lat 8—10. Rycina 1—2 w Nrze 15.
Fig. 36. Majtki (7, 8, 9, 10, 11, 12, 13, 14)
Fig. 37. Przód kurtki (15, 16, 17, 18, 19, 24, 25, 26, 27, 28) ∿∿∿
Fig. 38. Połowa pleców (15, 16, 17, 18, 23) ∿∿∿∿∿∿∿
Fig. 39. Rękaw (19, 20, 21, 22)
Fig. 40. Połowa kołnierza (23, 24)
Fig. 41. Patka do kieszonki górnej (25, 26) ✶✶✶✶✶✶✶✶✶✶✶
Fig. 42. Patka do kieszonki bocznej (27, 28) ◠◡◠◡◠◡◠◡

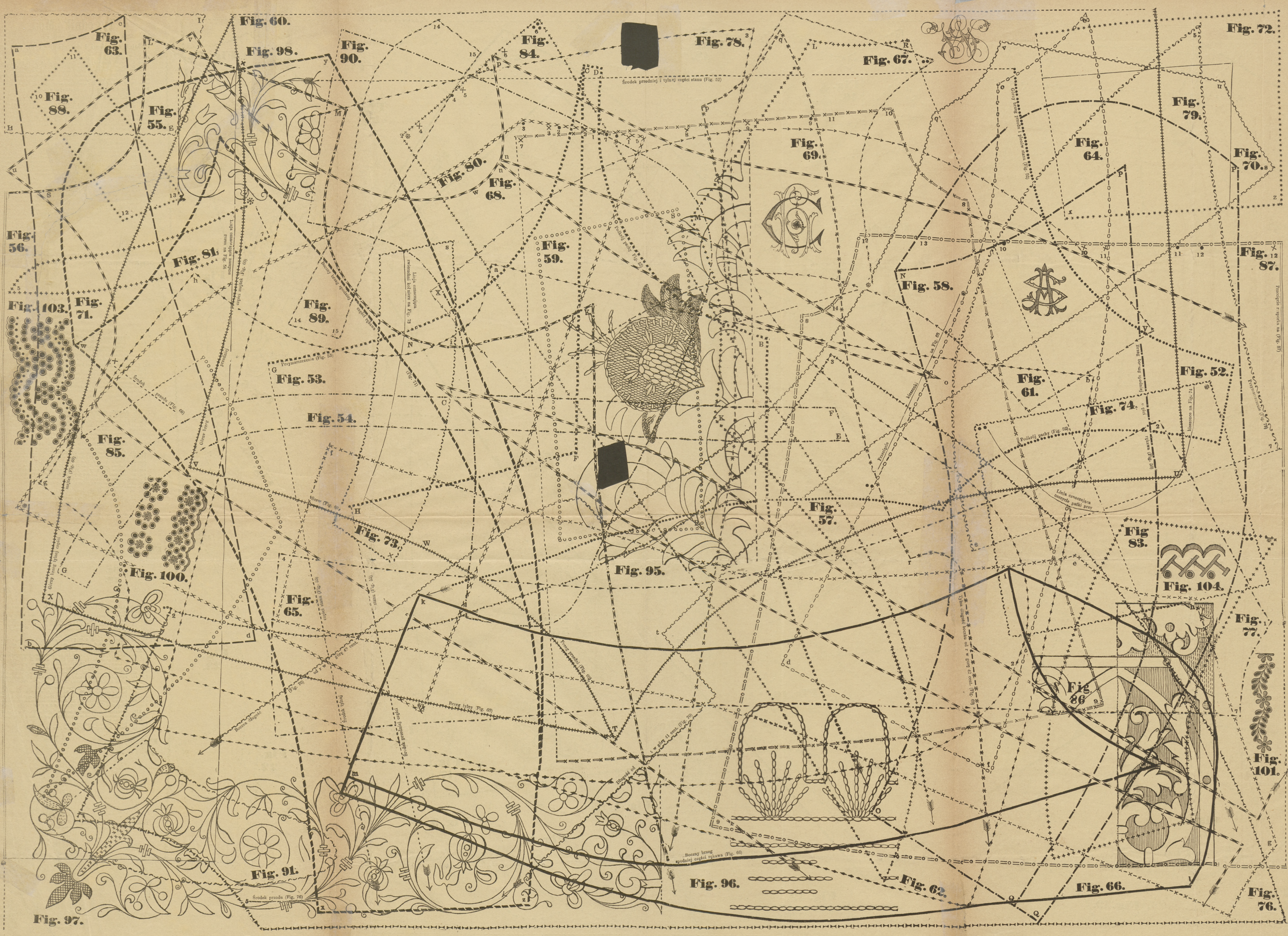
Nr. XI. Fartuszek bluzkowy. Rycina 28 w Nrze 14.
Fig. 43. Połowa przodu (29, 30, 31, 32, 35, 36)
Fig. 44. Połowa pleców (29, 30, 33, 34) ×—×—×—×—×—×—
Fig. 45. Połowa karczka (31, 32, 33, 34)
Fig. 46. Kieszonka (35, 36) ✶✶✶✶✶✶✶✶✶✶✶✶✶✶✶✶✶✶✶✶

Nr. XII. Spódnica z przypinanym trenem. Rycina 38—39 w Nrze 15.
Fig. 47. Wskazanie kroju połowy spódnicy (*a.* połowa przodu, *b.* klin boczny, *c.* połowa tylnego bryta).
Fig. 48. Wskazanie kroju połowy trenu.
Fig. 49. **Deseń do koronki** rycina 4 w Nrze 14.



Desenie do ryciny 4 i 5 w Nrze 15.
Fig. 50 i 51. Desenie na koronkę irlandzką do chusteczki do nosa.





Tygodnik Mód

w Warszawie 1881 r.

[redacted]ek z krojami i deseniami do Nr. 14 i 15.

[redacted]. **Koszula zapinana na ramionach.** Rycina 23 i 24 w Nrze [redacted]godnika mód.
[redacted]. Połowa przedniej i tylnej części stanu (A) [redacted] na Fig. 100 i 101. Fig. 52 daje formę przodu i pleców stanu, do mniejszego [redacted]dstawionego na ryc. 24 w Nrze 15, którą przedłużyć trzeba do 101 cent. bocznej [redacted]00 dolnej szerokości. Na Fig. 100 dajemy deseń haftu atłaskowego na karczku [redacted] — Ryc. 23, przedstawia koszulę mającą 102 cent. bocznej długości a 105 dolnej [redacted], górna szerokość stanu, licząc od szwu bocznego, wynosi 63 centy. — Ozdobę koszuli stanowi haft, którego deseń jest na Fig. 101 i 2 cent. szeroka, nadmarszczona Valencienka.

Nr. XIV. Koszula z mocno wyciętym gorsem. Rycina 21 i 53 w Nrze 15. Tygodnika mód.
Fig. 53. Połowa przodu i pleców stanu (B, C, D, E, F, G, H)
Fig. 54. Połowa karczka (C, E, F, G, I)
Fig. 55. Połowa plastronu (E, H, I)
Model koszuli odrobionej z cienkiego szyrtyngu, miał od wykroju pachy 92 cent. długości i 92 dolnej szerokości. Do wykroju bardzo głębokiego z przodu, wszywa się od E przez F do G, karczek złożony z bufki batystowej i wązkiej wstawki tiulowej. Ryc. 53 przedstawia część karczka dopełnionego wstawką do przewleczenia wstążeczki i szlaczkiem haftowanym. Plastron składa się z 3 bufek, 3 szlaczków haftowanych i wstawki do nawleczenia wstążeczki. Wstawka i haft zdobi rękawki.

Nr. XV. Koszula nocna z gładkim gorsem. Rycina 16 w Nrze 15.
Fig. 56. Przód stanu (K, L, M, N, S, ✻)
Fig. 57. Połowa pleców (K, L, M, R)
Fig. 58. Rękaw (N, O, P, Q)
Fig. 59. Kołnierz (R, S)
Forma bez karczka, mocno wcięta przy szwach bocznych, głównie przeznaczona jest na koszule odrabiane z surowych jedwabnych materjałów, albo z surah; lubo może także służyć do koszul z madapolamu lub t:p: materjałów. Model odrobiony był z blado różowego bastu, z wyszytemi na gorsie szlaczkami i rzucikiem, ściegiem krzyżykowym, jedwabiem ponsowym w dwóch cieniach. Długość koszuli od wykroju pachy wynosi 122 cent. szerokość dolna przodu 125, a tylnej części stanu 75. Proste, w koło zeszyte mankiety, mają $9^1/_2$ cent. szerokości a 22 długości.

Nr. XVI. Majtki z okrągłym paskiem. Rycina 35 w Nrze 15.
Fig. 60. Połowa majtek (T, U, V, W, X)
Fig. 61. Połowa paska (V, X)

Nr. XVII. Kawtanik nocny z luźno wciętemi plecami. Ryc. 33 w Nrze 15.
Fig. 62. Przód (a, b, g, h, i, ⁝)
Fig. 63. Boczek przedni (a, b, c, d)
Fig. 64. Boczek do pleców (c, d, e, f)
Fig. 65. Plecy (e, f, g, h, ✻)
Fig. 66. Rękaw (i, k, l, m)
Fig. 67. Połowa kołnierza (✻, ⁝)

Nr. XVIII. Paletot wcinany. Rycina 7 w Nrze 14.
Fig. 68. Połowa przodu i boczek (n, o, p, u, v, w, ✻, ⁝, +)
Fig. 69. Drugi boczek (p, q, r)
Fig. 70. Połowa pleców (q, r, s, t, u, v)
Fig. 71. Rękaw (w, x, y, z)
Fig. 72. Połowa mankieta (x, z)
Fig. 73. Połowa stojącego kołnierza (s, +)
Fig. 74. Kieszeń (✻, ⁝)
Fig. 68a—74a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju, Fig. 68—74.
Fig. 75. Przód paletota.

Paletocik z wełnianego materjału, zapięty na jeden rząd guzików, ma stojący kołnierz, mankiety i klapki przy kieszeniach aksamitne haftowane złotem. Na fig. 72—74 linja prosta odznacza szerokość części aksamitnych. Długość i szerokość dopełnia się podług miar wskazanych na zmniejszonym formacie. Dodamy to tylko, że szerokość zbywająca przy plecach od litery t zakłada się pod spód, a przy boczku od litery r tworzy fałdę zachodzącą pod spód.

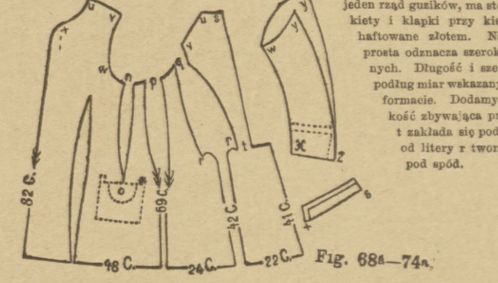


Fig. 68a—74a.

Nr. XIX. Okrycie. Rycina 3 i 8 w Nrze 14.
Fig. 76. Przód (1, 2, 3, 5)
Fig. 77. Połowa pleców (1, 2, 4, 7)
Fig. 78. Rękaw (2, 3, 4)
Fig. 79 Połowa wewnętrznej części kapturka (5, 6, 7)
Fig. 80. Zwierzchnia część kapturka (5, 6, ✻, ✕ 1 i • 1 do ✕ 3 i • 3)
Fig. 81. Połowa p ska do kołnierza (5, 7)

Nr. XX. Vêtement do ryciny 2 w Nrze 14.
Fig. 82. Wskazanie kroju połowy.
Fig. 83. Połowa kołnierza (✻, ⁝)
Fig. 84. Szarfa (✻, ⁝, ✕ 4 i • 4 do ✕ 6 i • 6)

Nr. XXI. Kołnierzyk rycina 3 w Nrze 15.
Fig. 85. Połowa kołnierza

Nr. XXII. Sukienka dla dziecka lat 2—3. Rycina 29 w Nrze 14.
Fig. 86. Połowa przodu (8, 9, 10, 11, ✕ 7 i • 7 do ✕ 9 i • 9
Fig. 87. Połowa pleców (8, 9, 12, 13, 14, ✻, ✕ 10 i • 10 do ✕ 12 i • 12)
Fig. 88. Ramiączko (10, 11, 12, 13)
Fig. 89. Rękaw (14, 15)

Nr. XXIII. Kołnierzyk Medicis. Rycina 30—31 w Nrze 14.
Fig. 90. Połowa kołnierza

Nr. XXIV. Podstawa do czepka. Rycina 12—13 w Nrze 15.
Fig. 91. Połowa kołnierza

Nr. XXV. Barbka do kapelusza. Rycina 9 w Nrze 15.
Fig. 92. Krój połowy barbki.
Fig. 93 i 94. Napięcie deseniu na koronkę. Rycina 17—18 w Nrze 14.

Desenie.
Fig. 95. Połowa haftu środkowego do serwetki, rycina 14 w Nrze 14.
Fig. 96. Część szlaku do serwetki, rycina 14.
Fig. 97. Szlak i narożnik do prześcieradła } Rycina i opis w dalszych Nrach.
Fig. 98. Deseń do prześcieradła }
Fig. 99. Monogram de prześcieradła }
Fig. 100—103. Desenie na haft biały
Fig. 104. Deseń na drzwiczki do pieca, rycina 6 w Nrze 15.

